

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 101.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, 19¹⁹ 31 sierpnia 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Ks. Hugo Kollataj (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa — Mody dawne i teraźniejsze (z drzeworytem). — Pomnik grobowy Waleryana Olszowskiego (z drzeworytem). — Kodeks cywilny i procedura małżeńska, dalszy ciąg (z dwoma drzeworytami). — Czernik nad Wisłą (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. Fundusz gromadzki. — Kilka słów o zebraćwie. — Do redakcyi Tygodnika Ilustrowanego. — Próżniak i Jowisz, bajka.

Książd Hugo Kollataj.

Czyliem dobrze ile mógłem; nie dla tego aby się podobać ludziom, lecz aby dla nich zbliżyć dobro im potrzebne.
(Z testamentu Kollataja.)

Hugo Kollataj jest jedną z największych postaci w dziejach naszych. Człowiek genialnego umysłu, rozległej a gruntownej nauki, którą wspierała niezmordowana praca, i niezmiernie silnej, niezachwianej woli, wzrastającej w miarę spotykanych zawod: wystąpiwszy na pole usług publicznych, wkrótce zajaśniał jako zdolność pierwszego rzędu; potem jako genialny mąż stanu, nadzwyczaj jasną myślą i gorącym uczuciem obywatelskim przodkujący swojej epoce w ważnych jej pracach w celu odrodzenia się; wreszcie stał się rzeczywistym jej sternikiem. Położenie było niezmiernie trudne, może jedyne w historii. Wymagało nadzwyczajnych ofiar nie tylko z osób i majątku, ale co dotkliwsza, z zastarzałych nawyknień i przesądów; z wielu chorobliwych narośli, zgromadzonych w organizmie krajowym w wiekach zapomnienia się. Nie było czasu usuwać je powoli, stopniowo, bo chwile były policzone. Dlatego z konieczności działając z pośpiechem i energią; wymagając od drugich zupełnego poświęcenia się, jakto sam uczynił, mógł sobie wielu narazić; jeszcze trudniej znoszono, że człowiek nowy, wzniosłszy się jedynie potęgą osobistych przymiotów, wyprzedził wiele zasług i imion starych. Gdyby dzieło odrodzenia, do którego wpływał z takim geniuszem i mocną, wytrwałą wolą, uwieczniło się pomyslnym skutkiem, byłby przedmiotem uwielbienia i podziwu u swoich i świata; ale kiedy budowa, którą dźwigał upadła, gruzy przysypały i jego wielkie zasługi. Niedosć na tém, jeszcze mierność, zazdrość i zemsta rzuciły się nań zawzięcie, czepiając się nie jego dzieła, ale osoby; dopatrywały w niej plam, podając w podejrzenie najszlachetniejsze jego myśli i usiłowania i starały się zmniejszyć zasługi, wywodząc je z nieczystych pobudek. Późniejsi może według zdania, iż w każdym obwinieniu jest choć część prawdy, powtórzyli nieprzychylny wyrok współczesnych i nazwali go intrygantem, człowiekiem z am-

bicią bez granic; inni jakubinem a nawet przywłaszczycielem grosza publicznego! Chociaż jeszcze nie nadszedł czas pojednania się z wybitniejszymi osobistościami w naszej historii, a co do Kollataja tém bardziej, że wiele szczegółów z jego życia jeszcze nie wyjaśniono; jednak z tego co mamy, czerpiem przekonanie że niesłusznie pokrzywdzono pamięć znakomitego męża, a jego czyny, poświęcenie i cierpienia są tak wielkie, iż w blasku, jakim go otaczają; gubią się słabości, gdyby nawet je miał. To co tu możemy o nim powiedzieć, może być jedynie krótkim wspomnieniem, tylko wzmianką o najważniejszych jego zasługach, ale jednak przedstawi go we właściwszym, korzystnym świetle.



KSIAZD HUGO KOLLATAJ. (Rys. Polkowski podług litografii J. F. Piwarskiego.)

Urodził się Kollataj dnia 4 kwietnia 1750 roku w województwie sandomierskim, z rodziny szlacheckiej, niegdyś zamieszkałej w województwie smoleńskim, a po jego odpadnięciu w skutek pokoju andruszowskiego, osiadłej w nowogrodzkim na Litwie,

wreszcie w sandomierskim, gdzie prawem zastawnym posiadała wieś Nicislawice. Rodzice jego, choć niebogaci, ale jednak dość majątni aby dzieciom dać staranne wychowanie, udzielali je Hugonowi najprzód w domu, potem oddali go do szkół w Pińczowie, wreszcie do akademii krakowskiej, gdzie pod domowym dozorem nauczyciela matematyki, Wojciecha Słupskiego, poświęcał się naukom, czyniąc w nich zadziwiający postęp. Gdy skończył akademię, obrawszy sobie stan duchowny, udał się do Rzymu i tam się doskonalił w teologii i prawie kościelnym, w których otrzymał stopień doktora; nadto poświęcał się historii, literaturze i sztukom pięknym, w których miał osobliwsze zamiłowanie, szczególniej w malarstwie i budownictwie. Już wtedy zaczął zbierać obrazy, i z tego powodu zabrał znajomość i zaprzyjaźnił się z bawiącym wtedy we Włoszech Franciszkiem Smugiewiczem; ośmielał jego talent malarski i wiele mu pomagał do utrzymania się, tak własnymi zamówieniami, jak zalecając go innym. Z czasem Kollataj wybudował niewielki lecz bardzo piękny kościół w Krzyżanowicach i między innymi pomieścił w nim trzy obrazy Smuglewicza: stworzenia, okupienia i uwielbienia człowieka. Jan Śniadecki powiada, że w późniejszym czasie nieraz słyszał Kollataja mówiącego z zapalem, iż chciałby mieć dostatki najbardziej dlatego, aby kraj ozdobić pięknymi budowlami.

Wracając jednak do toku opowiadania, do Rzymu, gdzieśmy Kollataja zostawili kończącym nauki z największym odznaczeniem, ozdobionego stopniem doktorskim, zaszczyconego tytułem członka instytutu bonońskiego, tudzież członka zgromadzenia nauk *wyzwolonych w Rzymie* i najprzychylniej zaleconego dworowi rzymskiemu, znajdujemy go zajętego myślą o powrocie do kraju i pozyskaniu tam beneficjum duchownego; odpowiednio jego stopniowi i uzdolnieniu. Właśnie w tym czasie, po śmierci Józefa Załuskiego, biskupa kijowskiego 1777 roku, zaważowała kanonia w Krakowie, a że to był miesiąc, w którym nominacja należała do papieża, więc Kollataj, chlubnie znany dworowi rzymskiemu z moralnych przymiotów, wysokich zdolności i nauki, najłatwiej uzyskał prezentę papieżką na wspomnianą kanonię. Chociaż w kraju zwykle niechętnie widzia-

no takie obejście bezpośredniej zwierzchności biskupiej i z przekąsem zwano kortezanami mianowanych w Rzymie, jednak często zdarzały się tego przykłady, które znoszono, zwłaszcza gdy kandydat do znakomitej należał do rodziny. Ale Kollataj ani z przodków, ani osobiście nie był

znany w kraju; dlatego prątał zarządzający dycęzją krakowską, w zastępstwie dotkniętego chorobą biskupa Sołtyka, nie chciał go dopuścić do kanonii. Zawsze energiczny i idący na przebój trudnościom, Kollataj wyrobił, sobie w Rzymie surowy rozkaz do kapituły, nakazujący przyjąć go pod zagrożeniem kary kościelnej. Kapituła ustąpiła, ale zachowała niechęć, z której potem miało wypłynąć dla Kollataja dotkliwie przesładowanie i wiele zmartwienia. Tymczasem jednak, przemógłszy swoich przeciwników i objawwszy kanonią, wyjechał do Warszawy, gdzie wkrótce dawszy się poznać królowi i kommissyji edukacyjnej z nader bystrego rozumu, rozległej nauki i żarliwości dla dobra kraju, mianowany został członkiem towarzystwa do ksiąg elementarnych ustanowionego przy kommissyji. W tym obowiązku nietylko pracował usilnie nad przygotowaniem dzieł podręcznych dla szkół mających się na nowo uorganizować pod rządem kommissyji, ale nadto wpływem swoim zapobiegł gorszaczemu rozchwytywaniu dóbr edukacyjnych.

Po zniesieniu zakonu jezuitów (21 lipca 1773 roku) w Polsce, wszystkie dobra, summy, domy, place i kolegia tego zgromadzenia uznane zostały za własność wychowania publicznego. Do zarządu niemi i utrzymania szkół za pobierany z nich dochód, na wniosek Joachima Chreptowicza podkanclerzego lit., zaraz w październiku tegoż roku ustanowioną została kommissya edukacyjna („kommissya nauk, kommissya edukacyi narodowej,“) złożona z ośmiu kommissarzy, (*) w połowie z senatu, w połowie zaś ze stanu rycerskiego, na lat sześć mianowanych. Aby się przekonać o stanie majątków pojezuickich wyznaczni zostali przysięgli lustratorowie, po dwóch do każdego powiatu, którzy zbadawszy rzecz na gruncie, zdali sprawę sejmowi. Z powziętych od lustratorów wiadomości „o bardzo złym tych dóbr stanie“ uznano za nieodwłocznie potrzebne, nieruchomości wiejskie rozdać między szlachtę, z obowiązkiem opłacania wieczyście po cztery i pół od sta rocznie od summy szacunkowej; nieruchomości zaś miejskie całkiem sprzedać mieszczanom lub szlachcie i powstałe ze sprzedaży summy, po dołączeniu do nich już posiadanych kapitałów, umieścić na procent po pięć od sta. Do szacowania, rozdawania lub sprzedaży ustanowione zostały na początku 1774 r. dwie osobne kommissyje rozdawnicze, jedna dla korony z 29 członków, druga dla Litwy z 17 członków. Do rozsądzania zaś wszelkich pretensyj do dóbr pojezuickich ustanowiono dwie kommissyje sądowe, dla korony z 30 członków a dla Litwy z jedenastu. Członkowie wszystkich tych kommissyj składający się z biskupów, wojewodów, kasztelanów i znakomitej szlachty, mieli stanowić większość, do czego komplet pięciu był dostatecznym. Ciśnięto się do kommissyj w widokach korzyści. Dobra pojezuickie były ogromne i oświecenie publiczne, dzięki szczodrobliwości staropolskiej, mogło się oprzeć na trwałej, szerokiej podstawie, stać się niewyczerpanym funduszem dla przyszłych uczących się pokoleń. Ale zamiast ten hojny fundusz naukowy zostać przywiązany do ziemi, coraz powiększającej swoją wartość, chwyciono się nieszczęśliwej myśli zamienienia go od razu na pieniądze, wskutek czego zamiat wzrastać z laty, owszem coraz się uszczuplał, z powodu zmniejszania się wartości monety. Nadto kommissyje rozdawnicze splamiły się ohydą chciwością, przez co znaczna część funduszu naukowego rozszarpaną została. Prezesami tych kommissyj byli niecnęj pamięci Młodziejowski biskup poznański, koronny, a Massalski biskup wileński, litewski. Spostrzegła się kommissya edukacyjna, naznaczyła wizytatorów, ustanowiła ściślejszy porządek; ale już były zrządzone niepowetowane straty. Właśnie w tym czasie wszedł Kollataj w bliższe stosunki z kommissyją edukacyjną, jako członek towarzystwa do ksiąg elementarnych. Jasną, zdrową myślą i patryotycznym widzeniem rzeczy pozyskawszy przyjaźń najwięcej odznaczającego się z kommissarzy, Ignacego Potockiego, tudzież szacunek drugiego kommissarza, Michała Poniatowskiego, późniejszego prymasa, wpłynął na uchylene kommissyj rozdawniczych, objęcie ich czynności przez samą kommissyją edukacyjną i lepsze użycie funduszków naukowych.

Zabezpieczając fundusze, kommissya edukacyjna z całą usilnością starała się odnowić i urządzić szkoły według rozleglejszego planu, odpowiedniego i wielkiej, naglącej potrzebie krajowej, i duchowi czasu. Reformę rozpoczęto od akademii krakowskiej, jako szkoły głównej, od której miały zależeć wszystkie in-

ne w koronie. Obejrzenie, zbadanie jej ówczesnego stanu i zdanie o tém sprawie, poruczono biskupowi krakowskiemu, będącemu na mocy bulli Urbana V, zatwierdzającej akademią, jej kanclerzem. Biskup Kajetan Sołtyk zwiził akademią w 1775 roku, i przy pomocy akademików złożył kommissyji sprawozdanie, z którego się okazało, że ta stara, szanowna szkoła bardzo podupadła i zachowywała swoje średniowieczne urzędnia już nie odpowiadała wymaganiom kraju. Potrzeba było ją odnowić, hojniej uposażyć, zmienić plan nauk i zaopatrzyć w zdolnych profesorów. Ale do tego nie można było przystąpić od razu, bo akademie posiadała odwieczne przywileje, potwierdzone przez papieżów i królów, i szanowane tradycyjnie; przytém miała swojego zwierzchnika w biskupie krakowskim Sołtyku, który cierpiąc wtędy na umyśle, tém trudniejszym był do jakiegobądź ustępstwa. Postanowiono tedy działać bardzo przezornie i aby osiągnąć cel, polecono to trudne zadanie Kollatajowi, znanemu w kommissyji najzaszczytniej z rzadkich zdolności.

Kollataj w 1777 r. udawszy się do Krakowa rozpoczął dzieło reformy przedewszystkiem od zostających pod zarządem akademii szkół nowodworskich, albo władysławskich, tak nazwanych ztąd, że je założył sławny za Zygmunta III rycerz Bartłomiej Nowodworski, a potem dla nich piękny dom zbudował Władysław IV. Kollataj dopełnił wizyty tej szkoły z wielkim taktem i biegłością, sam dobrał nauczycieli, ustanowił dozór szkolny, zaprowadził nowy plan w wykładzie nauk i 26 czerwca 1777 r. otworzył szkołę uroczystie, w pięknej mowie wykazującej pożytki, jakie wypłynąć miały z zaprowadzonych odmian. Niewiadomość i uprzedzenie obudzały nieufność ku nowemu porządkowi i starały się zniechęcić rodziców i uczących się młodzież; ale już po upływie roku na egzaminach przekonano się o ważnych pożytkach z zaprowadzonej zmiany i powszechnie zaczęto się odzywać z uwielbieniem o kommissyji i Kollataju.

Korzystając z tak pomyślnego początku, przystąpił do reformy samej akademii, tém bardziej, że cierpiąc biskup, zamknawszy się w swojej samotności, nie stawiał żadnej przeszkody, a jego zastępca nie śmiał walczyć z kommissyją o wątpliwe przywileje kanclerza akademii. Zaczęto reformę od fakultetu teologicznego, jako najbogatszego, a więc najzdolniejszego do przyjęcia ulepszeń. Do tego kommissya naznaczyła deputacyą pod przewodnictwem Krzysztofa Szembeka, koadjutora biskupstwa płockiego, z Kollataja, Józefa Olechowskiego archidyakona krakowskiego i Józefa Bogucickiego, profesora akademii, świeżo przybyłego z Włoch, Niemiec i Francyi, które zwiził w celach naukowych. W czasie tego układu katedr teologii, umiał Kollataj członkom akademii trafnie przełożyć potrzebę i pożytki z odnowienia nauk i pozyskać ich ufność. Ludzie ci, ze wszech miar zacni, pragnąc jedynie dobra kraju i sławy akademii, jedni zrzekli się osobistych korzyści i ustąpili swych miejsc zdaniem, drudzy przeszli gdzieindziej na urzędy płatne od kommissyji, inni w czasie robót wymarli, inni wreszcie oświadczyli powolność dla zadań kommissyji. Po tej drugiej szczęśliwej próbie, Kollataj zgodził się przyjąć urząd wizytatora akademii i obiecał spełnić wszystkie zamiary kommissyji. W tym celu w 1778 roku otrzymał szczegółową instrukcyą dokonać się mających prac i niezwłocznie wziął się do dzieła.

Prace swoje podzielił na trzy części: 2) wyświecenie funduszków i ustanowienie kassy; 2) zbadanie praw i przywilejów; 3) zaprowadzenie nowego planu nauk i dobranie odpowiednich profesorów.

1. *Fundusze akademii* (*) były dwojakie: stałe składające się z 21 wsi, 15 probostw i plebanij, gruntów, kamienic, kapitałów, znacznej liczby dziesięcin, rozrzuconych po różnych województwach, należących albo do całej akademii, albo do szczególnych kolegiów, katedr lub biędnych studentów (borkarne); i *niestałe* to jest dochody z drukarni i opłat za stopnie akademickie. Fundusze akademii, to długa zaszczytna historia dobroczynności polskiej. Począwszy od Kazmirza W. królowie i panowie, duchowni i świeccy, mieszczanie krakowscy, a najbardziej wysłużeni akademicy, oszczędzony grosz od skromnych potrzeb zapisywali instytucyom, w którym swe lata strawili i którego pomyślność i wzrost największą były ich chwałą. Te fundusze, niegdyś bardzo znaczne, z czasem, wskutek redukcji monety, odpadnięcia wielu dóbr razem z Galicyą, po utracie zup wielickich, na których znajdowało się wiele zapisów, zmniejszyły się do sta tysięcy złp. Było to wielkie ubóstwo, stosunkowo do poprzedniego stanu. Ocalały tylko fundusze oparte na ziemi dlatego dochód fakultetu teologicznego, ubezpie-

czony na dobrach kolegiaty S. Floryana, był najznaczniejszy. W tak smutnym stanie rzeczy trzeba było przejrzeć i roztrząsnąć stopy papierów i ksiąg rachunkowych, żeby wysledzić każdego funduszu początek, przemiany jakich doświadczył i stan do którego przyszedł—a przeto przekonać się czyli funduszków akademii nie można powiększyć z jej własnych dawnych źródeł. Tę mozolną; drobiazgową pracę wykonał Kollataj z godną podziwienia cierpliwością i dokładnością. Poczem wykryte fundusze, ustanowione pod różnemi tytułami, dla różnych kolegiów i katedr, złączył w jedną masę, poddaną jedynie pod rozporządzenie kommissyji edukacyjnej. Odróżniwszy w tej masie tylko fundusz dla uniwersytetu i dla biędnych studentów, ustanowił jedną powszechną kasę, pod imieniem prokuratorji, ułożył dla niej przepisy i sporządził roczny wykaz wydatków. Aby i obowiązki pobożne, przywiązane do funduszków akademickich, nie ucierpiały w skutek przejścia tych funduszków pod świecką zwierzchność kommissyji, naznaczył po 1% na ich odbywanie, a kościoły opatrzył we wszelką posługę duchowną kosztem akademii. Ta pracownita robota Kollataja godna jest uwielbienia i wdzięczności, bo była pomyślana głęboko i szczęśliwie, a wykonana zrećnie i przezornie.

2. *Prawa akademii* wypłynęły z bull papieżkich, przywilejów królewskich, konstytucyj krajowych, przepisów biskupich i zastrzeżeń szczególnych fundatorów. Należały do nich: własny sąd; władza stanowienia sobie ustaw obowiązujących wszystkie stany akademickie; przywilej że każdy nauczyciel publiczny, pod zwierzchnością akademii uczący, uważany był za szlachcica osobistego, a po 20 latach uczenia stawał szlachcicem dziedzicznym—(na mocy prawa prawa za Zygmunta I. w 1535 r.); wreszcie że władza akademii rozciągała się na wszystkie szkoły publiczne w Koronie zwane jej koloniami, i na akademię Zamojską zwaną jej siostrą. To ważne prawo podkopywali Jezuiti, ztąd nieustanne spory między zakonem, wyrabiającym sobie przywileje na szkoły w Krakowie, akademie w Poznaniu i Lwowie, i między Akademią broniącą swoich praw. W tych sporach odrywała się uwaga od nauk, niszczyło się zgromadzenie akademickie walcząc z możnym i bogatym zakonem, upadły nauki i kaził się język ojczysty. Oświecenie publiczne, niegdys jedno dla wszystkich, podzieliło się na sekty: akademicką, jezuicką i pijarską, w tych znowu na wychowanie pańskie po konwiktach i pospolite, a przeto doszło do ostatniego stopnia ponizienia, z którego dzwignął je dopiero Konarski.

Zbadawszy te prawa i przywileje akademii, Kollataj wyciągnął z nich i ułożył ten przedziwny plan jednoci zarządu szkolnego, który uchwaliła i zaprowadziła kommissya edukacyjna, a na jaki Francya ledwie w lat 25 później zdobyć się potrafiła. Według tego planu miała być jedna nauka i jeden rząd szkolny w całym kraju. Najwyższa władza edukacyjna nie gubi się w drobiazgach, lecz wpływa tylko na pierwsze uczące ciało, na szkołę główną z której jako ze źródła, płynie całe oświecenie. Kiedy to jest czyste, opatrzone we wszystkie pomoce, osadzone ludźmi gruntownie uczonymi, dbalymi o sławę i o dobro kraju—cały bieg oświecenia publicznego pójdzie pomyślnie. Złożone z ludzi celujących, usposobi nauczycieli do szkół niższych i tym sposobem przeprowadzi ten sam kierunek, najbardziej odpowiadający potrzebom krajowym. Nie poszedł Kollataj śladem państw sąsiednich, gdzie szkoły publiczne dzieliły się na wiejskie, miejskie i szlacheckie, lecz aby wszystkim stanom zarówno podać sposobność uzdatnienia się do posług krajowych, podzielił szkoły na początkowe czyli parafialne, na powiatowe i prowincjonalne, a nad niemi przełożył dwie szkoły naczelné w Krakowie i Wilnie. Tym sposobem nikt się niewyróżnia i nikomu nie tamuje się drogi do dalszego kształcenia się. Ten plan, piękny w teoryi, łatwy w zastosowaniu i zbawienny w skutkach, jedna swemu twórcy najsluszniesze prawo do sławy w dziejach oświaty krajowej.

3. *Stan nauk* w akademii krakowskiej był wcale smutny. Będąc jedną z najstarszych akademij w Europie, zachowała swoje urzędnia średniowieczne, poważne pod względem zewnętrznym, ale tręścią już dawno nieodpowiadające rozleglejszym pojęciom i potrzebom kraju. Zajęta przez dwa wieki walką z Jezuitami, nie miała czasu sledzić za postępem, jaki za granicą zrobiły nauki; jeszcze w cięż trzyma się Arystotelesa, nie troszcząc się o nowości, o zastosowanie nauki do życia społecznego. Było to ciało nadzwyczaj szanowne, ale jakby zakłete w kółku scholastycznych obrzędów i starych ceremonij, abstrakcyjnych dysput i osobliwszych ćwiczeń umysłowych, których cel nie sięgał dalej po za stare mury akademickie; zresztą miewane w języku umarłym były niedostępne i obojętne dla narodu. Akademia w takim stanie archeo-

(*) Ignacego Massalskiego biskupa wileńskiego, Michała Poniatowskiego biskupa płockiego, Sułkowskiego wdy gnieźni. Joachima Chreptowicza podkanclerzego w. ks. lit., Ignacego Potockiego pisarza lit., ks. Adama Czartoryskiego generała ziem podol., Andrzeja Zamojskiego i Adama Poninskiego starosty Kopanickiego.

(*) Ważne a bardzo dokładne dzieło, wyświecające fundusze akademii, wydał s. p. Hilary Meciszewski p. n. *Posąg uniwersytetu jagiellońskiego*. Kraków 1843 r. Do tej wzorowej pracy odsyłamy ciekawych czytelników. (Przyp. red.)

logicznej pamiętki, była zbytkiem którego naród wychodzący na pole szerszego, odpowiedniejszego swym, istotnym potrzebom działania, nie mógł sobie pozwolić. Dlatego wizytator pragnął zupełnie zmienić stan nauk według ulepszeń jakie zrobiono w innych krajach i jakie mu wskazywał jego własny, głęboki i gruntowny umysł. Pragnął naukę zastosować do życia, uczynić jego przewodniczką i pomocą; poprawił więc wydział nauk moralnych, zaprowadził nauki przyrodzone i osobliwszą zwrócił bacność na nauki medyczne, dotąd nie wchodzące w skład fakultetów akademii, jak dotąd ich niema w starych angielskich uniwersytetach w Oxford i Cambridge. Język narodowy uczynił obowiązującym do wykładu nauk i rozpraw, a katedry pragnął osadzić samymi krajowcami, których starannie wyszukiwał w krajach za granicą, wybierając jedynie celujących zdolnością i nauką. Tak tedy przez dwa lata ucząc się pilnie spraw uniwersytetu i zgłębiwszy je należycie, ułożył obszerny raport do komisji o akademii krakowskiej i projekt jej odnowienia, tudzież plan nauk i rządu szkolnego dla Korony, radząc taki sam zaprowadzić i w Litwie. Komisja, przyjąwszy ten plan, poleciła Towarzystwu do ksiąg elementarnych napisać ustawę szkolną, potwierdziła urządzenie Kollątaja co do kassy i funduszków, przyznała nagrody dla osób usuniętych, przyjęła nowy porządek nauk, wezwalaosoby podane do katedr i ten nowy stan rzeczy poleciła Kollątajowi uroczystie do akademii wprowadzić co też on na dniu 4 października 1780 r. uczynił. Nagradzając prace i zasługę położoną w tak ważnej sprawie, komisja mianowała go pierwszym emerytem akademii.

Tymczasem dawniejsza jeszcze niechęć kapituły, pobudzona świeżymi pobudkami, gotowała Kollątajowi nadzwyczaj wiele przykrości i zmartwienia, zmieniawszy plan nauk w akademii, usunął z nich wiele osób poważnych i zacnych, ale nienadających się do przeprowadzenia nowej organizacji, i zamiast nich powołał młodych, którym nazaczył równe płace ze starszymi, oceniając nietylko wiek, ile zasługę. Zasada to ściśle sprawiedliwa, bo ciało obowiązane do ciągłej energicznej pracy, wzrastającej z postępem nauki, której od niego żądać przychodzi coraz świeże, młode pokolenia, nie powinno być szpitalem dla złamanych wiekiem. Im za dawną pracą należy się szczytny spokój. Takie opatrzenie szczytne obmyślono dla usuniętych akademików, ale przyzwyczajeni do średniowiecznej zasady *in cathedra mori* (umrzeć na katedrze) żalili się, że przed nimi zamknięto przybytek nauk, do którego choć raz na tydzień chodzili, a umierając zapisywali mu grosz oszczędzony; i żal ten zdawał się tym słuszniejszy, że nie jeden z młodych, sprowadzonych przez Kollątaja professorów, zawiódł jego oczekiwania. Usunięci byli to po większej części kanonicy krakowscy, ztąd niechęć kapituły. Jeszcze bardziej rozjątrzył ją Kollątaj, przeprowadziwszy podany przez siebie projekt lepszego urządzenia znacznych dóbr Pabianic, które kapituła posiadała w Sieradzkim, małe ciągnąc z nich pożytki, gdy tymczasem bogacili się zarządzający nimi szczególnie kanonicy. Do niechęci i nienawiści przyłączyła się zazdrość, że tak młody, celował w kapitule zdolnością, sławą i zasługą, postanowiono go pognać i sromotnie wydalic. Podstępnie dano powód, że ludzie Kollątaja, wypędzani w jego nieobecności z dzierżawy wsi Bieńczy, stawiając opór dopuścili się gwałtu, o co wytoczono mu proces kryminalny, oburzono przeciw niemu biskupa Soltyka i za jego wyrokiem pozbawiono go kanonii, a proces w grodzie popierano usilnie. Chociaż następnie i biskup uznał Kollątaja niewinnym, i prymas, zniósłszy potępiający go wyrok, zwrócił mu kanonię i surowo naganął kapitułę; jednak przykrość była dotkliwą. Zniósł ją Kollątaj jak człowiek wyższej duszy i wkrótce dał dowód wielkiej szlachetności, gdy z usilnością ocalił honor tegoż kanonika Chrzanowskiego, co niegdyś stał się narzędziem podstępny przeciw niemu. Jan Sniadecki, kreśląc charakter Kollątaja, powiada: „tkliwy na cierpienia ludzi niemał w sobie ani zawziętości, ani zemsty,“ przebaczył im szczerze i mimo doznane przykrości, niechęć i potwarz tych których niezbędnie musiał dotknąć, chociaż tego przezornie unikał, wracał służąc zasadom, które uznawał za słuszne i zbawienne dla swego czasu.

Ta osobliwsza wytrwałość w służeniu prawdzie, będąca znamieniem istotnie wielkiej duszy, uderza w Kollątaju. Nie nastęrczał się, ale powołany, imał się pracy z równą energią i prowadził ją z wszelką możliwą dokładnością. Tak i wtedy, mimo niedawne przykrości, gdy na prośbę akademików komisja wezwała go, aby znowu udał się do Krakowa i sam rozwinął, uzupełnił i ustalił zaprowadzoną reformę akademii, w połowie 1782 r. pośpieszył tam znowu jako wizytator, a od końca tegoż roku jako rektor, przy pomocy rady z ośmiu professorów dokonał wa-

żnego dzieła. Kończono budowę gmachów; zakładano gabinety i ogród botaniczny, sprowadzano z zagranicy książki, narzędzia i maszyny; osadzono wszystkie katedry, czuwając nad starannym w nich wykładem udoskonalono wydział lekarski zaopatrując go w szpital świętego Łazarza na Wesołej; skłoniono miasta do utrzymywania w akademii stale sto pięćdziesięciu młodzieży, wysyłanej z nich na naukę medycyny; a co najważniejsza, urządono starannie seminarium nauczycieli szkolnych, do którego zaciągnięto część dawniej młodzi akademickiej, przyłączając do niej młodzież litewską, przyslaną z Wilna pod dozorem osobnego prefekta, tudzież wychowanców zakonu bazylińskiego, dla których przeznaczono oddzielny dom i kościół, urządony według ich obrządku. W skutek tej światłej myśli Kollątaja, kształcąca się młodzież, pracując w jednymże duchu dobra powszechnego, wydała potem wielu zdolnych i pożytecznych nauczycieli, a zgromadzenie bazylińskie umiejętnie i zacie krzewiło nauki. Ciesząc się z pięknych plonów, zapomniano o tym, co pierwszy rzucił płodny zasiew, a jednak zasługa Kollątaja w tym wielka. Szkoda, że wśród nieszczęść jakie potem go spotkały, zaginęły ważne jego zapiski z tego czasu „O stanie nauk w Polsce“ pilnie zebrane w 4 grubych tomach arkuszy. Praca jedenastu lat zawierająca w sobie autografy i historią robót komisji edukacyjnej tudzież wizyty i reformy akademii i szkół, dokonana starannie, w opecie największej świeżości jego umysłu, mogła się stać znakomitą dziełem, gdyby był mógł ją wykończyć. Tylko część tej pracy „O stanie oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III od 1750—1764 r.“ ogłosił drukiem Ed. Raczyński w Poznaniu 1844 r. (Dok. nast.)

Kronika tygodniowa.

Różne są wymagania ludzkie, wszystkim żądaniom dogodzić niepodobna,—prawda to stara jak społeczeństwo, a że się często przychodzi z nią spotykać mamy dowód na naszych kronikach tygodniowych.

Wiadomo że nie każdy tydzień obfituje w wypadki mogące być pomieszczone w tym dziale, a mnóstwo jest takich, które wcale na to nie zasługują i dlatego zbywamy je milczeniem; są przecież ludzie, którzy nam wyrzucają że niewiemy się z każdą godziną brukowego życia, że niezdajemy dokładnych sprawozdań co w ciągu tygodnia zaszło w każdym domu, że wybiegamy w sferę oderwaną i gonimy za przedmiotami obcymi chwilom bieżącym.

Wedle naszego przekonania kronika nie może zajmować się zbieraniem ladajkich wiadomości brukowych, ani biegać z torebką plotek od domu do domu. Możliwą tę pracę zostawiamy osobom trudniącym się procederem tego rodzaju z zamięłowania lub professyi.

Przeznaczeniem sprawozdań tygodniowych, jest jak nam się zdaje, być odbiciem czasu, odbiciem wiernym ze wszystkimi przymiotami i wadami jakie cechują naszą epokę, a zostawić je w spuszczanie przyszłości jako materiał charakterystyki wieku. Dla tego też nieukrywając przymiotów powinny śmiało wytykać wady, bez schlebienia i zbytecznego zapалу szkiełować pierwsze, bez uprzedzenia i zółci zwracać na drugie wagę publiczną, z czystem sumieniem, z ręką na sercu, z wiarą i nadzieją że przymioty ogółu rozwiną się, a wady powoli... bardzo powoli, ale przecież kiedyś zmniejszą się znakomicie. Że zupełnie nie znikną twierdzimy śmiało, bo synowie Adama zawsze z ciałą i krwią, zawsze z zarodem różnych namiętności rodzić się będą, ale poznanie swych błędów, przyznanie się do nich śmiało, walka ze złem ukrytym w łonie własnym, zacięciem białą sukienkę przed słowem prawdy, to już wiele, bardzo wiele—poprawa to szczyt zasługi ułomnego człowieka.

Drobne interesa, korzyści prywatne oburzają się niekiedy, jeżeli im się publicznie wypowie prawdę, ale mniemamy że prywatna miłość powinna i ustąpić częsteczkę ze swego, jeżeli występstwo to rzeczywistą przyniesie korzyść ogółowi. Dlatego prosimy tych, którzy czują się być dotkniętymi naszymi pobieżnymi uwagami, niechaj zapytają swego sumienia po czyjej stronie słuszność; gdyby zaś w istocie nie była ona po naszej, gdybyśmy się w sądzie pomylili, niechaj przekonają nas o tym dowodnie, a przyznamy się do winy i sprostujemy sąd niewłaściwy, lub też wystąpimy w obronie i usprawiedliwieniu naszego zdania.

Chęć służenia ogółowi podaje nam pióro w rękę i wskazuje drogę którą iść powinniśmy, którą pójdziemy dalej, naprzód *w Imię Boże!*

W zeszłym tygodniu kompania pobożnych powróciła

z Częstochowy, która w tym roku bardzo wielu zgromadziła pielgrzymów. Święto Wniebowzięcia Matki Boskiej nie tylko na Jasnej-Górze tak licznie i uroczysto obchodzoną bywa; w Galicyi, w obwodzie wadowickim, w miasteczku Kalwaryi, zbiera się corok w ten sam dzień niezliczone mnóstwo pielgrzymów, częstokroć stotyście przynoszący, po największej części z Krakowskiego i z Galicyi, a oraz ze Szląska, Moraw i Węgier.

Jedna z szanownych naszych czytelniczek nadesłała nam z rawskiego zajmujący opis wesela złotego, którego świadkiem była w zeszłym miesiącu. Żałujemy bardzo że dla szczupłości miejsca nie możemy go powtórzyć w kronice.

Obrzęd ten rozrzewniający dziś niestety rzadki, częstszym w dawniejszych czasach był u nas gościem. Po pięćdziesięcioletniej wędrówce, po doznaniu tysiącznych radości i smutku, boleści i szczęścia, zbliża się zacna para pielgrzymów do podnóżka tego samego ołtarza u stóp którego w wiosnie życia dozgonną wierność poprzysięgła sobie, z tą tylko różnicą, że uniesienie i miłość zastąpiły spokój i szacunek, że miejsce druzbów i druzek zalegających dziś grób cichy, zajęło grono hożych wnuków i prawnuczki. Cudny to obrzęd, widno miłość Bożą nad tymi co go doczekali. Dla czegoż dawniej częściej widywano zgrzybiałych starców, nowym na drogę wieczności łączących się węzłem, czyliż naddziadów naszych czystszej miłości łączyły ognia? Nieuchylamy zasłony dzisiejszego małżeńskiego pożycia, nie wdzieramy się w jego tajniki życzymy tylko z serca aby częściej slychać było w krainie naszej o złotych weselach, bo one są jawnym dowodem łaski i błogosławieństwa bożego.

I z innej strony kraju mamy pocieszającą wiadomość którą pragniemy podzielić się z czytelnikami. W mieście Łęczycy zakłada się kassa pożyczkowa dla rzemieślników, w celu wyrwania tej pracowitej ludności z przepaści długów i lichwy. O fundusz na początek trudno, więc zacni Łęczycanie urządzają loteryą fantową, aby pierwszy grosz zgromadzić, a przedmioty do losowania zbierają nie tylko z Łęczycy. Gdyby nawet która z pań naszych miała jaki ładny sprzęcik, niekoniecznie na toalecie potrzebny, z wdzięcznością go oni przyjmą. Fundusz pożyczkowy nie jedną lżę obetrze, nie w jednej zaradzi potrzebie, a miło pomysłić że się przyczyniło do tego, prawdziwie chrześcijańskiego, uczynku.

Iluż to rzemieślników pomimo najszczerzej chęci i pracowitości, pozbawieni wszelkich zasilków, nie są w stanie prowadzić swego rzemiosła. Zacna ta klasa zasługuje na współczucie wszystkich, ciężko zarabia na kawałek chleba, który jej się za pracę słusznie należy.

Są tu wprawdzie małe grzeszki (bo gdzie ich niema) ale grzeszki do poprawy, a gdybyśmy już raz na tor gawędki wpadli pomówny nieco o tём, boć pomówić nie zawadzi, a jesteśmy pewni że to swój skutek wywrze i nie będzie rzuconym grochem o ścianę.

Jedną z wielkich wad naszych panów majstrów jest to, że przyrzekają na dzień oznaczony odstawić zamówioną robotę, a gdy dzień ten nadejdzie ani pana majstra, ani roboty nie widać. Mija dzień drugi, trzeci, tydzień, dwa, a czasem i miesiąc a pan majster nie stawia się w słowie i dopiero kiedyś po kilkukrotnym chodzeniu i swarach, a czasem procesach oddawna zadatkowana robota dochodzi tego co ją obstałował.

Nie jest to wada ogólna, bo znamy wielu rzetelnych rzemieślników, którzy obietnicy na godzinę nawet punktualnie dotrzymują, ale są i tacy, a ich niemało, co sobie z przyrzeczenia a nawet z danego słowa nie robią.

Otóż odzywamy się tutaj do zgromadzeń panów majstrów rzemieślniczych, izby, dając nam niejednokrotnie dowody swej poczciwości, i dobrych chęci i na tę okoliczność uwagę swą raczyli zwrócić. Niechaj wpłyną na swych braci mniej rzetelnych aby swoje słowo więcej cenili, większą do niego wagę przywiązywali niż dotąd. Słowo poczciwego człowieka, jego rzetelność, to skarb, klucz do kredytu, do pomyślności. Niechaj raz zagraniczni rzemieślnicy przestaną się przechwalać że tylko oni sumienni i na czas robią, pokażmy im że na tej drodze nietylko zrównać ale i przescięgnąć ich potrafimy. Silna wola i dobrze pojęty punkt honoru narodowego największe przeszkody przelamać potrafi, a mamy nadzieję że słowa nasze otwarte z łatwością trafią do sere szanownych panów majstrów i czeladzi i prawdziwą będzie dla nas nagrodą myśl żeśmy ich uwagę na ten przedmiot zwrócili.

Szanownych zaś czytelników naszych upraszamy, aby swym znajomym panom majstrom rzemieślniczym, uwagi te nasze łaskawie zakommunikowali.

Summ cuique, każdemu oddaj co się należy, otóż

ponieważ zagabnelismy rzemieślników o niedotrzymanie słowa, wypada jeszcze odezwać się do ogółu zamawiającego robotę.

Częste są skargi na nierzetelność rzemieślników, ale równie częste a może i częstsze na zamawiających robotę, że odebrawszy je nietylko zaraz nie płacą, ale czasem i zupełnie nie płacą. Otóż to jest także jedna z kardynalnych wad naszego społeczeństwa. Solidarność rzecz święta, gdzie jej niema niknie kredyt i zamożność ogólna. Każdy nim coś obstaruje powinien zawczasu obliczyć się czy będzie miał robotę czem zapłacić; lekkomyślność w tém względzie jest grzechem nie do darowania i często zgubne pociąga za sobą skutki. Niezbyt dawno pewien rzemieślnik, w skutku nierzetelności swych dłużników, którym oddawna odstawił roboty, ostatecznością przyciśnięty, straszliwem samobójstwem życie sobie odebrał. Wiemy wszyscy o tym wypadku, nazwiska jego nie wymieniamy, aby oszczędzić wyrzutów tym, co przyczynili się swą nierzetelnością do tego nieszczęścia.

Rzetelność wszędzie i przedewszystkiem, kto niema za co sprawić nowych eleganckich sukien, niech nie bierze na kredyt, ale w starych chodzi dopóty, do-

W Łęczycy zakładają nadto czytelnicy, ku użytkowi wszystkich co za małą opłatą korzystać pragną ze skarbów naszej przeszłości, i bieżącej literatury. Z radością powitalismy ten nowy objaw chęci kształcenia się. Dobrzeby było aby wyborem dzieł zajęli się ludzie światli, tak, iżby czytelnicy nierozrywkę i zabiecie czasu, ale rzetelną korzyść znaleźli.

Terażniejszy rok poskąpił nam owoców, wiśni i jagód w ogóle było bardzo mało. Sliwek nie będzie wiele, gruszek i jablek średnio. Już to możemy sobie przyznać, że ogrodnictwo i sadownictwo w kolébcie u nas spoczywa. Przy takim ogromnym spożyciu warzyw i owoców, przy takiej chęci kupowania ich, jaka się okazuje w Warszawie, dziwna rzecz, że nie znajdują się ludzie przedsięwzięci, którzyby zajęli się z zamiłowaniem i świadomością ogrodnictwem i sadownictwem.

Czyż to slychane rzeczy, aby w kraju, w którym owoce wszelkiego rodzaju z łatwością się udają, płacono za gruszkę lub jabłko 10 groszy, sprzedawano kwarteczkę sliwek po 12 groszy. Czyż nie wstyd aby owoce te sprowadzać zdaleka, z zagranicy nawet, zamiast starać się o rozmnożenie ich na miejscu.

ka nic nie urodzi, a trzeba się przypatrzeć jak to tam chłop starannie ją nawozi, uprawia, jak nietylko kamienie i kamyki wybiera i wyrzuca, ale nawet najmniejsze bryłki rozkrusza, a warzywa starannie od suszy i chwastów strzeże.

Tymczasem u nas inaczej się dzieje, widzieliśmy pole tuż przy Warszawie zasiane ogórkami, bez ładu i porządku jak ziarno padło. Ogórków wprawdzie było mało, ale za to kamieniami, na gruncie będącymi, możnaby kawał gościńca usypać. Niejstże to niedbałość w najwyższym stopniu. Ogród pod miastem to skarb, to czysty i ciągły dochód, o nawóz nie trudno, potrzeba tylko chęci; przykład braci Hoser (cudzoziemców) pokazuje dowodnie, co może usilna praca i pilność z najnieużyteczniejszego kawałka ziemi wyprowadzić, p. Czempiński i paru innych ogrodników otrzymują także piękne jarzyny i owoce, bo nie żałują pracy; tymczasem w ogóle wszędzie zdają się zapominać właściciele sadów i ogrodów o tém starém naszym przysłowiu:

Bez prace nie będą kotace.



MODY DAWNE I TERAZNIEJSZE. (Obmyślił i narysował Polkowski.)

póki nie zarobi na nowe; kto niema funduszu na nowe meble, niech przestanie na dawnych] sprzętach, boć milszy drewniany stolik a zapłacony, niż na kredyt wzięte palisandry i mahonie cudzą krzywdą wysłane.

Gdyby jaki matematyk zajął się obliczeniem wszystkich kwot od publiczności należnych księgarzom, kupcom i rzemieślnikom, urosłaby ztąd ogromna summa. Książki te już dziś zniszczone, towary skonsumowane, suknie i sprzęty zużyte, jakżeż więc trudno zapłacić za to co już nie istnieje. Gdyby komu kto proponował żeby sobie przywłaszczył najmniejszą broszurę, funt cukru, parę kamaszków, wzdrygnąłby się i niezawodnie nieprzyjemnie odplacił propozycję kradzieży, a jednak nikt się nie wzdryga brać na kredyt dzieścię, sto razy tyle, a potem nie płacić. A na jakąż nazwę podobna manipulacja zasługuje?

Otóż trzeba raz otrząsnąć się z tej brzydkiej lekkomyślności, poszanować cudzą pracę i własność i wymagając od kupców i rzemieślników rzetelności i solidarności tą samą monetą im płacić.

Nie mówimy tu do ogółu, tylko do tych szczegółów, które zajrzawszy do tajników swego sumienia, winniemy się uczują.

Podczas gdy w Prusach wszystkie drogi publiczne i prywatne są wysadzone drzewami owocowymi, u nas w miejsce ich sadzą topole; tam nie mogą spożytkować mnóstwa owoców i przerabiają je na napoje, u nas, pod tém samym stopniem szerokości geograficznej, ceny ich do bajecznej wysokości dochodzą.

Hodowanie drzew owocowych nie jest znowu tak wielką sztuką, iżbyśmy jej dokazać niepotrafili. Niestety niedbalstwo jest tego niedostatku przyczyną.

Bo też sąsiedzi nasi na wiosnę starannie obierają drzewa z gąsiennic, u nas spokojnie one objadają młode listeczki i niszczą kwiat i przyszły owoc w zarodzie; bo też tam wycinają stare, lub drzewa liche owoce dające i mają owoców w brod. U nas drzewo, jak go posadzono, tak rośnie, zjedzą liszki to dobrze, toczy czerw i to dobrze, urodzi się to dobrze, a nie to nie.

Toż samo dzieje się z jarzynami. Nie szukając przykładów zagranicznych, przypatrzmy się tylko wsiom podkrakowskim. Włóścianie tameczni z jednego zagonu po kilka zbiorów otrzymują w ciągu lata i ciągle a pewny dochód mają. Jakie to tam szparagi, kalafiory, jakie mnóstwo ogromnych i soczystych ogórków, jedne rośliny dojrzewają, inne rosną, inne znów wschodzą. Prawda że ziemia lepsza, ależ ziemia bez starania człowie-

MODY DAWNE I TERAZNIEJSZE.

Na dwóch drzeworytach, mamy powszechnie używane stroje niewiast naszych z lat 1821 i 1861.

W pierwszym uderza nas obcisłość ubiorów, stany krótkie, szczególny kształt kapeluszy strojnych piórami, jak znowu przystroj głowy niepokrytych kokardami wstążkowymi. Salopy czyli odziewki, były tak szczupłe, jakkolwiek długie, że zaledwie do okrycia się służyć mogły. Jedno co najwięcej zdołało niewiasty polskie ówczesne, to suknie krótsze, z pod których gustownie obuta noga, dodawała niemało uroku, pięknym i dorodnym ich postaciom. Znanym był powszechnie w Warszawie, wielki zwolennik płci pięknej, który nazwyczajony do mody, upowszechnionej tak w Paryżu jak w Warszawie, zachował przez całe życie ten zwyczaj, że za nim spojrzal na postać i oblicze idącej kobiety, przedewszystkiem poglądał na nogi. Jeżeli kształtne a gustownie obute, wtedy patrzył na jej kibić i w oczy zaglądał, nie zrażało go mniej dorodne oblicze: on się zachwycał składnością nogi. W tańcu, szczególniej w mazurze, krótsza suknia, a przy niej kształtna noga, wiele powabu dodawały.

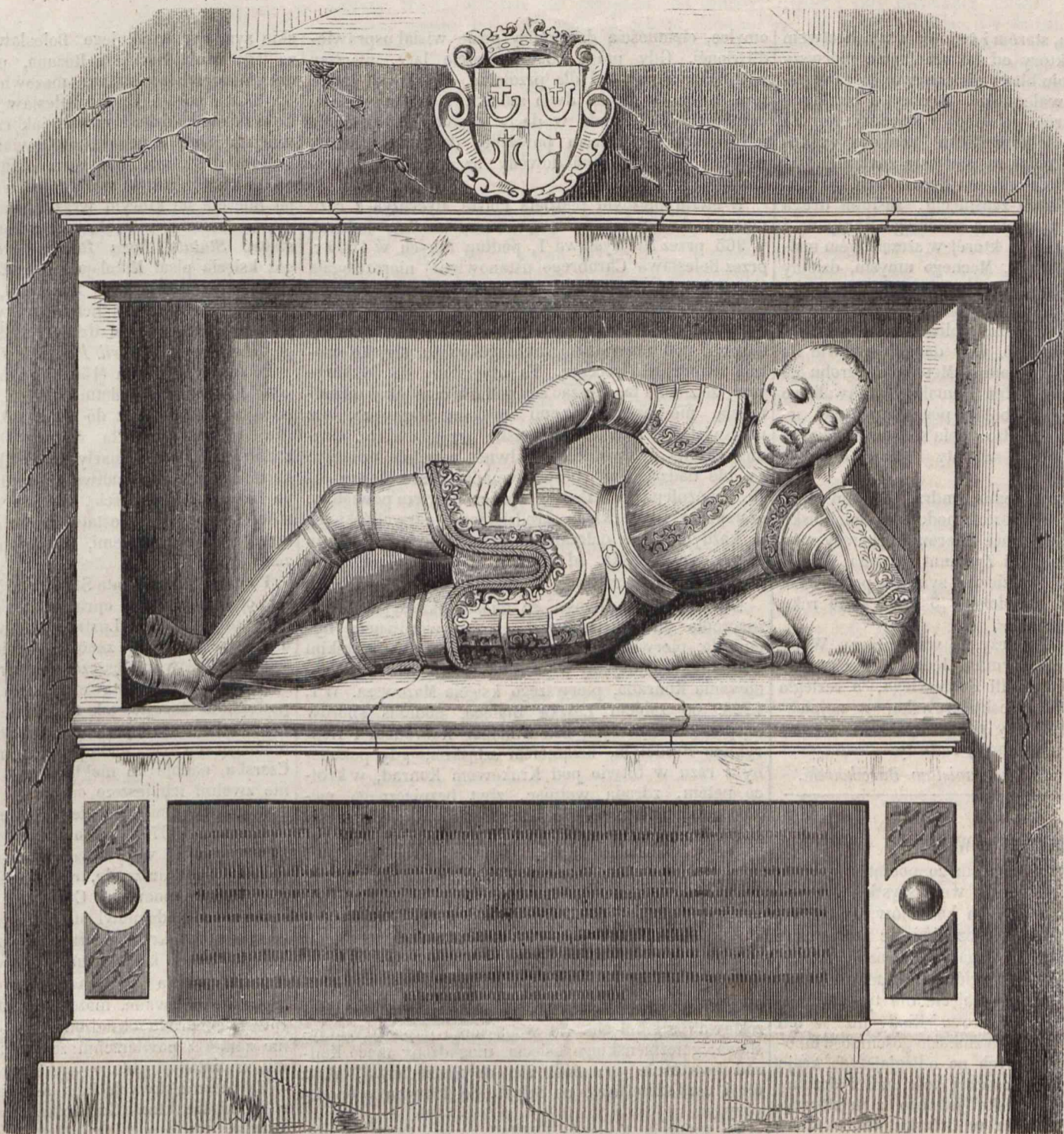
Krój krótkich staników u sukien, przetrwał od czasów księżstwa warszawskiego, blisko do r. 1824. Mody jak dotąd przychodziły do nas z Paryża, za to jak znowu w Galicyi, Wiedni, był w tym przedmiocie wyrocznia.

Dzisiejsze ubrania gustowne, i wygodniejsze od tamtych, objaśnienia niepotrzebują.

K. Wł. W.

**POMNIK GROBOWY
WALERYANA
OLSZOWSKIEGO.**

Ojców naszych czcigodne prochy, stanowią dla nas najświętszą podnieję do wytrwania na wytkniętej przez nich drodze, spojnią dziedzictwa cnót, fundament i dźwignię naszej przyszłości. Nigdy serce nie bije silniej, nigdy poważniejsza myśl nie oświadczy umysłu, jak na widok pomnika minionych wieków, tak żywo przemawiających do nas cnotami poświęceń, męstwa i miłości. A ziemia nasza, której każda niemal cząstka ma swoje pamiątki, związane z pięknymi kartami na-



POMNIK WALERYANA OLSZOWSKIEGO. (Rysował z natury Barcikowski.)

szych dziejów; ona przekazuje nam jeszcze wiele wspaniałych pomników, których ani czas, ani zapomnienie zagładzić nie zdoła.

W Sieradzkim na niechmierowskiej ziemi, po dziś dzień stoi kaplica murowana familii Olszowskich, w której znajduje się pomnik kamienny, znacznych rozmiarów, odpowiadający wszelkim warunkom sztuki, w ścianę wmurowany, (jak go załączony rysunek przedstawia), poświęcony pamięci ś. p. Waleryana Olszowskiego, senatora, kasztelana spycimirskiego, urodzonego w r. 1587, którego dzielny żywot w krótkości na kamienną płytę nagrobka czytamy w napisie łacińskim, którego tu daję tłumaczenie.

Bogu poświęcony
i pamięci
potomstwa.

(Pomnik) Jasnemu Oświeconemu i Wielmożnemu Panu Waleryanowi z Olszowy Olszowskiego, kasztelana spycimirskiego, herbu Prus z dwiema kosami, męża katolicką religią, godnością senatora-



CZERSK NAD WISŁĄ. (Rysował Lewicki.)

ską, starodawną cnotą, starém i świetném szlachectwem odznaczającego się, który od lat szkolnych, pierwszy kwiat młodości na polu bitwy pielęgnował, męża w potrzebach wojennych walecznego. Zaszczyc i publiczną chwałę u Zygmunta króla polskiego i szwedzkiego, od bohatera Stanisława Żółkiewskiego, hetmana w koronnego zasłużony, pojął za pierwszą małżonkę Dorotę Brzustowską, dziedziczkę na Brzustowcu, po której w ciągu roku jednego zgaśnięciu, zaślubił drugą Zofią Duninównę, Krzysztofa z wielkiego Skrzynna i Zofii z Koniecpola córkę, z której w szczęśliwym małżeństwie 16 dzieci spłodził. Mocnego umysłu, dzielny dłonią, ojczyznę kochający, przyjaciel przyjaciółom, dla księży, biędnych i dla każdego obcego wiele gościny, nie stracił jednak szczodrobliwością swego majątku, owszem pomnożył go. Gdy dorosli synowie na swoich barkach jak Rzymianina Metella do grobu go zanieśli. Uczony pisarz Stefan Damalewicz chwalił go w mowie pogrzebowej i obchód pogrzebu Maciej arcybiskup gnieźnieński, bardzo wielu senatorów, liczne duchowieństwo, mnóstwo szlachty i tłum ubogich, bytnością swą uczli.

Ojcu najlepiej zasłużonemu Andrzej biskup chełmiński i poznański, Krzysztof podczaszy wieluński, najstarszy z pozostałych braci, Hieronim chorąży wieluński starosta brzeziński i Zygmunt starosta bratiański i szercowski, wdzięczni synowie pomnik ten postawili. Umarł na apopleksyę 5 lipca 1630 roku w 63 roku swego życia.

W końcu nadmienić należy, iż wspomniany Walerjan był ojcem księcia prymasa Jędrzeja Olszowskiego, który koronował Jana III Sobieskiego, a rozległa i malownicza dziedzina Niechmierowska, w najpiękniejszej okolicy rzeki Warty położona, od XIV wieku pozostaje w rękach téjże saméj rodziny.

Stanisław Barcikowski.

CZÉRSK NAD WISŁĄ.

Tygodnik Ilustrowany, od samego początku swojego istnienia, pomieszcza statecznie we wszystkich numerach swoich wizerunki starych kościołów, zamków i innych pomników krajowych, obznajmiając publiczność z jednéj strony z wielkiém bogactwem rozsianych po ziemi naszej pamiątek, z drugiey opowiadaniem ich dziejów, budząc tém żywsze zajęcie dla tych, często samych z siebie niemych murów. Kiedy już w ten sposób na kartach Tygodnika znalazło gościnność mnóstwo zabytków, rozrzuconych po odleglejszych kraju stronach, zdaje mi się że równéj gościnności doznałby w nim powinny zwaliska jednego z najstarszych grodów Mazowsza w Czérsku, tak okazałością i malowniczością swoją, jako i historyczną ważnością z wszech miar na to zasługujące, a położone w tak niewielkiej od Warszawy odległości, że za zwróceniem na nie uwagi stać się mogą dla wielu jéj mieszkańców zajmujących wycieczek celem!

Kiedys jeszcze, w gronie szkolnych towarzyszy; zwiadzwszy po wielekroć Czérsk i jego zamek skreśliłem po krótko obojga opis i dzieje. Opis ten, dzisiaj nieco dopelniony, posłużyć może za tekst do wizerunku ruin czerskiego zamku, jeżeli redakcja Tygodnika mego za nimi wstawienia się uprzejmie wysłuchać zechce.

Miasto Czérsk, niegdyś słynne rozległe, ludne, zamoczone i warowne, dziś zapomniane, ubogie i pamiątkami przeszłości uwagę na się zwrócić jedynie zdolne, leży niespełna o pięć mil powyżej Warszawy, na tymże samym lewym brzegu Wisły. Jeżeli starożytność nadaje miastom do szacunku prawa, Czérsk pod tym względem nie wielu z nich w Mazowszu i Polsce całej będzie miał powód ustąpić. Jest to niewątpliwie jedna z najdawniejszych na ziemi naszej osad, która już w przedhistorycznych czasach ważne zajmowała stanowisko. Dowodem istnienia jéj za pogańskich jeszcze czasów, są popielnice i starożytne oręża, znajduwane w zamkowej górze i innych wzgórzach pobliskich; tradycyjne zaś w owéj zamierzonej epoce znaczenie stwierdza wyraźna dystynkcyja, jaką się Czérsk od wystąpienia na jasnią dziejów zaszczyca. Zaraz po objęciu Mazowsza przez udzielną Piastów linią, przed nastaniem jeszcze osobnego udziału z ziemi czerskiej, książę Ziemowit pierwszy obok tytułu: *Dux Masoviae* dodaje *et de Czyrnsk et terrae Czyrnensis*. Wojewodowie, później mazowieckimi zwani, z początku czerskich nosili nazwę; kasztelanstwo zaś krzesłowe czerskie, dzięki starożytnej powadze ziemi i miasta przetrwało długo upadek tego ostatniego, aż do ostatnich rzeczypospolitej czasów.

Aż do niedawnych czasów za dowód starożytności Czérska uchodził także dzwon, podług dość upowszechnionego mniemania datę 1004 roku nosić na sobie mający. Jak się jednak po części domyśleć było można, mniemana dzwonu tego dawność polegała na

omyłce, ciemnością dzwonnicy gdzie wisiał usprawiedliwionej. Gdy przed kilką wreszcie laty, uległszy piękniemu, zdjęty był dla przelania, okazało się że za zera brano w dacie dwie szóstki, z mało znacznymi ogonkami. Ta jednak w dacie dzwonu rektyfikacyja nie ujmuje w niczem poważnej dawności miasta, powyżej przytoczonymi dowody aż nadto już ugruntowaną.

W hierarchicznym podziale Polski, dyecezyja z razu mazowiecką, potem plocką zwana (podług jednych w 965 przez Mieczysława I, podług innych w 1000 r. przez Bolesława Chrobrego ustanowiona) nierozciągała się na lewą stronę Wisły, lecz ziemie: rawska, sochaczewska i gostyńska do gnieźnieńskiej należały archidyecezyi, czerska zaś, podlegając biskupstwu poznańskiemu, pod nazwaniem archidyecezyi nie jako osobną tworzyła dyecezyę. To zdawałoby się wskazywać, że ziemia ta, ciesząc się pod ów czas jakąś udzielną, nie razem z innymi częściami Mazowsza, lecz niezawisłe od nich chrześcijańską przyjęła wiarę. Granice zaś jéj pierwotne, jakkolwiek zupełnie oznaczyć się nie dadzą, były bezporównania obszerniejsze niżli w późniejszych czasach; oprócz bowiem powiatów: czerskiego, wareckiego, grodzkiego, garwolińskiego, w każdym razie należała jeszcze do niéj późniejsza ziemia warszawska, od 1344 r. dopiero w oddzielne przetworzona księstwo.

Nie ulega wątpliwości, że miasto takiego jak Czérsk znaczenia od niepamiętnych czasów warowném być musiało; pierwszą jednakże wyraźną o zamku czerskim wzmiankę znajdujemy w początkach XII wieku, za panowania Konrada, pierwszego księcia Mazowsza. W r. 1228, po zabiciu Leszka Białego, podczas sporów o opiekę Leszkowych dzieci między Konradem i Henrykiem Brodatym, księciem szląskim, gdy pokonany z razu w bitwie pod Krakowem Konrad, w krótko potem, zdradą wetując, zbyt bezpiecznego pojmał przeciwnika, podług podań kronikarskich w czerskim uwięzić go miał zamku. Niedługo też później, w 1233 r., gdy Bolesław Wstydlawy, skończywszy piętnaście lat wieku, za matki swéj Grzmisławy i panów radnych namową ze stryjskiej usiłował oswojzić się opieki, Konrad, zaprosiwszy go wraz z matką na przyjacielski zjazd do siebie, oboje w Czérsku uwięził. Ząd po jakimś czasie na sieciechowski przeniesieni zamek, i wnet znowu do Czérska wróceni, dostojnie pojmani, życia nie pewni w surowém zostawali zamknięciu. Na wstawieniu dopiero Władysława, gnieźnieńskiego księcia, ulagodzony nieco Konrad powtórnie przeniosł ich do Sieciechowa, ząd też i uszli szczęśliwie na Śląsk, od Henryka w opiekę przyjęci.

Ze śmiercią Konrada I (1247 r.) na księstwo mazowieckie nastąpił Ziemowit I syn jego. Za rządów tego księcia, 1258, Litwa pod wodzą Strojnatą, przeszedłszy Wisłę, srodze spustoszyła okolice Czérska. We cztery lata później, Mendog, książę litewski, złoczywszy się z Swarnem, Rusinem, napadłszy Mazowsze, ubiegli i pojmał Ziemowita, wraz z synem jego Konradem, w Jazdowie (teraźniejszym Ujazdowie), gdzie Ziemowit od Swarna ściętym został. Zapewnie grasujące podówczas tak blisko, a zwyciężkie hordy, nie przepuściły i Czérskowi.

W podziale ziem mazowieckich między pozostałe Ziemowita syny, Konrad II objął czerską w dzierżenie. Zmarł on bezpotomnie w 1294 roku, a udział jego przeszedł na starszego brata Bolesława, księcia plockiego. Po zejściu tegoż Bolesława, w 1313 r., trzej synowie jego podzieliłi się dziedzictwem ojcowskiem, przyczém ziemi: czerska i warszawska przypadły średniemu, Trojdenowi, który o wzrost i umocnienie swéj stolicy pilnych dokładał starań.

Ziemowit III, syn Trojdenów, objawwszy spuściznę po ojcu w 1344 r. a po bezpotomnych trzech swych braci zgonie złączył następnie pod swą władzę wszystkie rozdrobione Mazowsza ziemie. Zjednoczył je jednak poto tylko, ażeby znowu podzielić. Po śmierci jego (1384) widzimy Czérsk w posiadaniu najstarszego syna Janusza.

Pod panowaniem Janusza I Czérsk ucierpiał po wielekroć z przyczyny pożarów. Książę, chcąc miastu przyjść w pomoc, nadał mu w 1386 r. prawo niemieckie, a w 1398 odbył w niem zjazd walny, na którym statut czerski ustanowił. Tenże sam przecież Janusz zadał cios wielki dotychczasowej stolicy swojej przenosząc dwór i mieszkanie do wznoszącej się świeżo Warszawy, gdzie odtąd następcy jego przebywać zwykli. On także, w 1406, przeniosł z Czérska trzy prebendy, kanoników i kollegiatę, przy kościele zamkowym w Czérsku, pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, istniejące do odbudowanego przez siebie kościoła św. Jana w Warszawie.

Po zmarłym w 1428 r. Januszu, objął państwo czerskie

syn, czy wnuk jego, Bolesław IV. (1) Pod nim i za jego wolą Maciej z Różana, proboszcz natenczas czerski przełożył statuta mazowieckie z łacińskiego języka na polski. Umarł Bolesław w 1435 r., a opiekę małoletnich dzieci, równie jak rządy krajowe, sprawowała przez czas jakiś owdowiała księżna Barbara.

Konrad III, syn Bolesława, objawszy w rząd ziemie czerską, złożył w 1496 roku sejm w stoletcznym jéj mieście na którym wraz z senatorami, urzędnikami, radcami i szlachtą mazowiecką ustanowił nowy statut: *Statuta Nova Domini Ducis Conradi*. Za tegoż księcia pisał Mikołaj z Czérska, przełożony tutejszego kościoła, kronikę Mazowsza, która wprawdzie zaginęła, lecz z której liczne cytaty znajduwają się w niedrukowanym dziele Stanisława Szczygielskiego: *Historia Monasterii Plocensis Ordinis s. Benedicti*.

Po zgonie Konrada (1503), owdowiała księżna Anna, jako opiekunka małoletnich dzieci, rządziła pozostałym po nim udziałem aż do 1518 roku, w którym władza księżęca przeszła w ręce Stanisława, starszego z dwójga synów. Zmarły w rychle (1524) młody ten książę zostawił dziedzictwo bratu, Januszowi II, z którego bezpotomną śmiercią, w 1536, udzielne rządy Piastów mazowieckich ostateczny wzięły koniec, a ziemia czerska, wraz z innymi, do korony polskiej wcielona została.

Po zejściu Zygmunta Starego (1548 r.) królowa Bona, otrzymawszy w sprawie Mazowsze, rada w Czérsku mieszkowała. Lustracye ówczesne wspominają o mieście tém, jako znaczeniem, ludnością i zamożnością w Mazowszu jeszcze najpięknijszym. Już jednak za Zygmunta Augusta ciężkimi dotknięte pożarami, podupać zaczęło, jak to widać z przywileju tegoż króla z 1566, którym ulitowawszy się, jak mówi, nad niemogącymi się podnieść z upadku mieszkańcami Czérska, nadaje im niektóre ulgi i swobody. Następnie zwolnił ich jeszcze od opłaty wszelkich cel i targowego w granicach całego królestwa.

W roku 1607, za panowania Zygmunta III, Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski, wódz rokosz, ciągnąc ku Warszawie, rozłożył się w miesiącu czerwcu obozem pomiędzy Czérskiem i Warką, odtąd następnie ku Radomiu się cofnął. Są ślady, że aż do czasów tego króla istniały i rozdziły jagody winnice, jeszcze przez książąt na zamkowej górze założone, do opatrywania których przeznaczona była wieś jedyna, *Talary* zwana, może z pojmanych w wojnie jeńców tego narodu obsadzona. Wieś ta z czasem zupełnie znikła z powierzchni ziemi, nazwę swoją pustemu zostawiając polu.

Za nieszczęśliwych Jana Kazmirza rządów, w 1656 r., po klęsce którą Czarnecki zadał był Szwedom pod Warką, wodzowie ich: „komendę mający Fryderyk, margrabia starszy, z grafem Szlipenbachem i Elwenszteinem, konsyliarzem króla szwedzkiego, przez gestwiny przebrali się do Czérska, i między obalinami pustego muru trzy dni o głodzie i chłodzie przesiedziawszy, potem w nocy do Warszawy powędrowali. (2)

Uchodząc zaś, ze wszystkich stron podpalili miasto, tak że ze szczętem zgorzało. Po ukończeniu téj wojny, ze trzech kościołów i kilkuset domostw, jakie tu pierwéj liczono, zaledwie dwadzieścia dwa lichych ocalało zabudowań. Zamek równie jak miasto zniszczony, stał w gruzach, z niepokrytymi i pełnymi wyłomów murami, z opustoszałym i zwałonym przez pół kościołem zamkowym.

Okropna ta klęska była ostatecznym dla Czérska upadkiem. Odtąd nie był on już nigdy podwignięty się w stanie, zwłaszcza, gdy z 1670 rokiem wieś Góra o ćwierć tylko mili odległa, przez Michała Korybuta do rzędu miast podniesiona, pod nazwiskiem Góry Kalwaryi lub Nowéj-Jerozolimy, dźwigać się poczęła.

W 1765 r. stan Czérska do zupełnej doszedł ruiny. Miasto całe dwunastu zaledwie nędznych liczyło obywateli. Starożytny zamek, w którym jeszcze do 1757 sądzono jurydykcyę grodzką, opustoszał do reszty. Uderzony smutnym odwiecznego pomnika tego stanu Franciszek Bieliński, marszałek wielki koronny, podjął własnym kosztem naprawę czerskiego zamku, i wydawszy ogromne na cel ten summy na chwilę do lepszej przywrócił go pory.

W mnogich walkach po 1772 r. toczonych, zaledwie poczynając podnosić się nieco Czérsk nowemi został dotknięty klęskami. Wtedy to i niedawno odnowiony zamek ostatecznie uległ ruinie. Za czasów pruskich, jak opowiadają mieszkańcy po dziś dzień, rozsadzano z niego prochem mury, ażeby ich za materyał budowy użyć, przy czém jeden z żołnierzy od odłamu muru miał zginąć. Widmo jego we fraczku, pluderkach

(1) To jest czwarty tego nazwiska w linii Piastów mazowieckich; trzecim był Bolesław ks. plocki od r. 1330 do 1351.

(2) Słowa wyjęte z dzieła: „Historia panowania Jana Kazmirza przez nieznanego autora“ wydana przez Raczyńskiego.

o trójkątnym kapelusiku, dotąd mówią widywać można skaczące po murach w ciemne i burzliwe noce. Za rządu pruskiego rozebrano także stary ratusz tutejszy i archiwa, jakie jeszcze ocalały w zamku, do Góry przeniesiono; za warszawskiego zaś księstwa musiano rozebrać walące się stajnie i mieszkalne budowle, wewnątrz zamku położone.

Dzisiaj Czernsk jest jednym z najlichszych miasteczek Mazowsza i Polski. Korneli Kozłowski, w swojej monografii Czernska⁽³⁾ z której po części dopełnienia do opisu mego czerpałem, podaje o nim następujące statystyczne data z 1854 r. Ludność cała wynosiła w rzezonym roku 342 osób, to jest 322 Chrześcian i 20 Żydów. W liczbie tej czterech tylko znajdowało się rzemieślników, to jest dwóch kowali i dwóch młynarzy, właścicieli dwóch wiatraków. Domostw bez wyjątku drewnianych, 46. Dochody miejskie, z propinacji czynszów wieczystych konsensów, dzierżawy łąk, polowania, rybołówstwa, gruntów miejskich i t. d., wynosiły złp. 3164 gr. 25; assekuracja zaś w towarzystwie ogniomów podana była w ogóle na 83,333 złp. 40 gr. Przez te lat siedm, które od 1854 upłynęły roku, stan rzeczy nie wiele mógł się zmienić, tak że śmiało za trwający obecnie przyjąć go można.

Z powierzchowności dzisiejszy Czernsk raczej do wsi niż do miasteczka podobny. Od wiosek odznacza się tylko wyciągnięciem pod sznur tych paru ulic, co go składają, i czworogrannym, obszernym, ale pustym i równie jak ulice niebrukowanym rynkiem. Rynek ten, wśród którego tylko dzieci i wiatr przelotny w zaspach piasku igrają,—ulice, po których w bujnych po pod płotami chwastach bydło się pasie, dziwnie smutne budzą uczucia w podróżnym, świadomym dawniej świetności miasta.

Jakbądź jednakże smutnym jest ten widok, nie sprawia tego przykrego wrażenia, obrzydzenia i wstrętu, jakie wywoływać zwykły podupadłe przemysłowe miasteczka, brudne, duszne, szmatami dawniejszego zbytku świeżące z pod robactwa i błota. Dobroczynne rolnictwo bujną zielenią zakrywa gruzy obrzydłe, najuboższą zagrodę chroni przed brudną nędzą i stroi ją w kwiaty poezji. I nieraz, gdy o zachodzie słońca wstępowałem w piaszczyste Czernska ulice, a ryki trzód spędzanych z pastwiska i skrzyp wracających plugów i wozów niekowanych, turkot głuchy, rzeźkie okrzyki parobków, pieśni odwiecznych tęskne nuty z rosą rozlegające się po polach, i szum drzew po nad płotami, i fujar przeciągłych kwilenie, i skrzypiec niestrojnych chrapliwe głosy, ta cała nasza muzyka wieczorna zmieszana drżała w powietrzu wodząc w duszę rzewność błogą, błogosławilem starych słowian świętemu kunsztowi, krzewiącemu na ruinie życia tyle.

Chwila taka przenosiła mnie wyobraźnią w owe odległe wieki, zanim pierwsze lechickie trąby zagrzmiały jeszcze w tej stronie, budząc cichą rolniczą sadybę do krótkiej świetności i klęsk niezliczonych. Dziewięć wieków dobiega dzisiaj od tej epoki, a oto na témże miejscu stoi znów zagród rolniczych rząd długi, z rozwartemi jak niegdyś gościnnie wroty. I kiedy w pomroku wieczornym utoną drobne szczegóły, a oko tylko ogół obejmie widoku, mniemałbyś że od owych zamierzonych czasów nie się tutaj nie zmieniło. Tylko w głębi obrazu, po nad strzechami chat, na jaśniejącem resztą zórz zachodnich niebie, rysujące się niewyraźnie czarne, olbrzymie wieże zameczyska, i krzyż drewniany, na wzgórzu przeciwnem wzniesiony świadczą samodwój, że dziewięciowieczna przeszłość przeminęła istotnie nad tem miastem. Podobnie, niby sen długi, przeminęła ona i nad ludem naszym, jako jedyne nabytki zostawiając mu wiarę krzyża i wspomnienia jakiegoś niepewne, olbrzymie, tajemniczą mgłą poezji osnute...

Dzisiejszy Czernsk, jak to widzieć można po szczątkach bruków, daleko w różnych kierunkach pod piaskiem się rozciągających, zajmuje drobną tylko część osady, jaką dawniejsze zajmowało miasto. Zbudowany na wyniosłym pobrzeżu Wisły, jednym ramieniem od rynku zbiega w dół ku rzęce, drugim zaś, długą, choć z nielicznych domów złożoną ulicą, ginie w piaszczystej płaszczynie, szeroko go okalającej.

Z tej ostatniej strony okolica niezmiernie żałobna i dzika na wejrzenie. Jałowe, żółte, skąpą zielenością przypruszone pola, okolone ciemnym wieńcem niedalekich sosnowych borów, ciągną się jednostajną, milczącą równiną. Obumarłość widoku zaledwie gdzie-niegdzie przerywa podwójny szereg rosocchatych wierzb przydrożnych, wiatrak obracający się zwolna na piaszczystym wydmuchu, lub snujący się wiecznie to tam to sam tuman tańczący z wichrem diabła.

Drugą natomiast stroną Czernska, nadwiśle, przedstawia obraz życia i rozmaitości pełny. Jasna, szeroko

ko rozlana Wisła, kolysze się nieopodal od zamku w zielonym swym łożu. Po niej, co chwila prawie, mkną to tratwy, to berlinki z rozpiętymi żaglami i powiewającymi na szczytach masztów chorągiewkami, to galary, od Krakowa z solą lub wapnem idące, poganiane rękoma silnych flisów, których rozgłosne pieśni, brzmiały nad falą, zmieszane z srebrnym jęk szumem. Po za Wisłą, na ostatnim krańcu widnokrepu, błękitnieją dalekie lasy. Od nich, aż do samego koryta rzeki lekką pochyłością spadające brzegi ożywiają liczne wioski, rozrzucone wśród gajów łożyny i zalewów wodnych. Bliżej jeszcze, tuż nad samą wodą, ciągną się mokre, bujną trawą pokryte łągi, a gdzie-niegdzie samotne chaty rybaków przelazają się w drzącym fal zwierciadle. Nieco poniżej Wisły, na tejże samej co Czernsk stronie, na podobnie wzniesionym brzegu, widać miasto Górę, otoczone zewsząd sadami, i z po za ich zieleni czerwieniące się i bielące licznymi kościołami i klasztorami swemi

Między obiema temi miastami pasmo pagórków nadbrzeżnych wygina się w łuk głęboki, Wisłę za cieciwę mający. Dolina w jego ramionach zawarta powstała widocznie na miejscu dawniejszego koryta rzeki, kiedy ta prostszy bieg wzięła. Dotąd ona z każdą wiosną, a czasem kilkakrotnie do roku, powraca tu, w nawiedziny do dawniejszego państwa swego, zostawując po ustąpieniu z niego nigdy nie wysychające mnogie strumienie ustępy, i moczary. Pomiędzy niemi rozrosły się nieprzejrzane gąszczy wierzb, nadwiślańskich topoli, czeremch, olch, leszczyny, głogów, róż dzikich i kalin, poprzeplatane tysiącem wijących się samopas ścieżek i drożyn. Tu i owdzie, z pośrodku zarosli, otwiera się zielona łączka, lub na nieco podnioslejszym miejscu cicha zagroda wieśniacza. Wiosna, nim jeszcze Wit święty uciszy połowę ptactwa, gdy krzaki różane kwitną, aż duszno tutaj od zgiełku i woni, jak w jednym z owych zaklętych gminnej baśni gajów. Za przewodnika, niedozwalającego pod różnemu zbłądzić w tym wesołym, zielonym labiryncie, służą wyniosłe wieże zameczyska, z każdego miejsca widoczne.

Zamek ten, główna Czernska pamiątka i ozdoba, wznosi się na dość znacznym, stromym, ku Wisłę przed inne wyskakującym wzgórką, od miasta i od całego również wyniosłego brzegu oddzielonym głębokim parowem. Wisła, która niegdyś tuż pod zamkiem płynąc, napelniała zapewne i ten sztuką zagłębiony naturalny przepok; dziś, gdy się od dawniejszego koryta oddaliła na jakie półtora tysiąca, a może i więcej, kroków, parów wysechł sam ze siebie. Dotąd przecież trwa nad nim wspaniały murowany most, na dwu wyniosłych wsparty łukach.

W środkowym mostu słupie, w górnej tegoż części, znajdują się wmurowane, jedna nad drugą, dwie kamienne płyty, po parę stóp kwadratowych powierzchni mające. Na jednej z nich, niżej położonej, można patrząc z dołu rozróżnić związane w cyfrę dwie głoski F i B, a po obu cyfry stronach po dwa drobne jakiegoś znaczki. Jest to zapewne data ostatniego odnowienia zamku przez Franciszka Bielińskiego, wraz z jego cyfrą na pamiątkę wyrzyta. Na drugiej płycie, sądząc z pozorów daleko starszej, tyle tylko dostrzedz można, że napis z kilku drobnych składa się wierszy. Wielka wysokość słupa niedozwala dostać się doniej dość blisko, ażeby napis wyczytać się dalo.

Ze samego zamku pozostała jeszcze część opasujących go murów i trzy potężne, do sześćdziesięciu lokci wysokie baszty.

Przez panującą nad mostem czworoboczną wieżę, wysoka brama, w której tkwią dotąd ogromne odwrót zawiasy, prowadzi w pośrodek rozległego, chwastem i krzewami dzikimi porośłego, dziedzińca. Sterczące z pod nich fundamenta pozwalają w części odgadnąć rozkład i obszerność wewnętrznych niegdyś zabudowań. W pośrodku ukazują mieszkańcy miejscowi zaledwie znaczny dół, gdzie być miała studnia, jak mówią, pod ziemią aż z Wisłą się łącząca. W jednej ze dwojga okrągłych wież widać tak zwane *fundum*, czyli więzienie ciężkie, do którego spuszczano z góry więźni, na jakie dwadzieścia stóp głęboko. Drugą z wież, gdzie dawniej archiwa znajdować się miały, zład wspomnienia godna, że śmiały a wolny od zawrotu głowy wędrowiec może, częścią po szczelinach murów, częścią po szczątkach gżemsów i schodów, wdrapać się aż na sam szczyt jej i nasycić się ztamtąd jednym z najobszerniejszych i najpiękniejszych w polskiej naszej krainie widoków. Z muru okólnego dwie ściany, łączące wieżę wjeżdżną z pobocznymi, zachowały się jeszcze dość dobrze. W najwyższych miejscach mają one do 16 stóp wysokości, a grubości około stóp czterech. Trzecia ściana, od strony Wisły, całkiem rozwalona; gdzie-niegdzie tylko pozostały z niej kilkołokciowe kawały, murów i tuż przy ziemi wystające fundamenta.

Otóż i cały inwentarz dawniej piastowskiej siedziby, do którego chcąc coś dodać, musiał byś chyba policzyć liczbę okien i szram w murach.

Nie szukaj tu już najmniejszego śladu książęcej świetności, ani żadnego szczegółu, któryby ci odgadnąć dozwolił żywot i obyczaje zamkowych niegdyś mieszkańców. Te puste mury tyle ci o nich powiedzą, ile żelazna blachownica o uczuciach meża, którego pierś zamykała. Lecz właśnie ta to twarda, posągowa nagość ruiny nadaje jej nadzwyczaj poważny i wspaniały wyraz. Olbrzymi ten, prosty, surowy, omszony, szkielet pierwotny zameczyska widokiem swym przenosi wyobraźnią od razu w głąb żelaznych czasów piastowskiej epoki, w lata wojeńskie, nieżeli sam zapamięta, niby starzec długowieczny, nietylko swego żywota ale i dawniejszych dziejów wspomnienia malowną przywołujący powieścią.

Kościółów, oprócz wspomnianego już zamkowego, posiadał Czernsk niegdyś trzy jeszcze: a mianowicie: kościół św. Jakóba, już po za miastem położony, kościół parafialny, pod wezwaniem Wniebowzięcia N. P. Maryi i św. Ducha, z należącym doń szpitalem. Dwa te ostatnie stały tuż przy sobie, naprzeciw zamku, parowem tylko od niego przedzielone. Dziś z tych kościołów najmniejszego nie pozostało śladu; na miejscu zaś parafialnego stoi jedyny obecnie, za czasów pruskich, jak powiadają z gruzów zamku, wystawiony kościółek mały, niski, płaski, wewnątrz ubogi, z półkolistymi drobnymi oknami, jakieśmy w gospodarskich raczej niż religijnych budynkach oglądać przywykli. Za jedyną ozdobę służy mu sążnista tablica z czarnego marmuru, na której zlocistymi literami następujący stoi napis:

FRIDERICUS WILHELMUS III BORUSSORUM REX
OMNES SUBDITORUM RELIGIONES AEQUE PROTEGENS
HOC TEMPLUM CULTUI CATHOLICO DESTINATUM
EXTRUI JUSSIT A. D. MDCCCLXXXV. REGNI SUI A. VIII.

Prawdę mówiąc kościółek nie wart ani tablicy, ani napisu.

Jedynym zabytkiem z dawniejszego kościoła, który się przy tym nowym aż do niedawna przechował, był ów dzwon, mylnie poczytywany za zabytek z XI, rzeczywistość zaś z XVII pochodzący wieku, przed dziesięcią niespełna laty na nowo przelany.

W kancelaryi burmistrza przechowują się trzy dobrze zachowane oryginalne przywileje miastu nadane; jeden, z 1385 r., przez Janusza I, mazowieckiego księcia, dwa zaś, z 1566 roku, przez króla Zygmunta Augusta. Pieczęć starożytna miasta Czernska, której odciśnięciem miałem w rękę, wyobrażała dwie oddzielne stojące baszty, z powiewającymi na nich chorągiewkami, z napisem w obwodzie *Civitas Czernsk*.

KODEKS CYWILNY I PROCEDURA MAŁŻEŃSKA.

(Dalszy ciąg.)

III.

Użyteczność woalki.

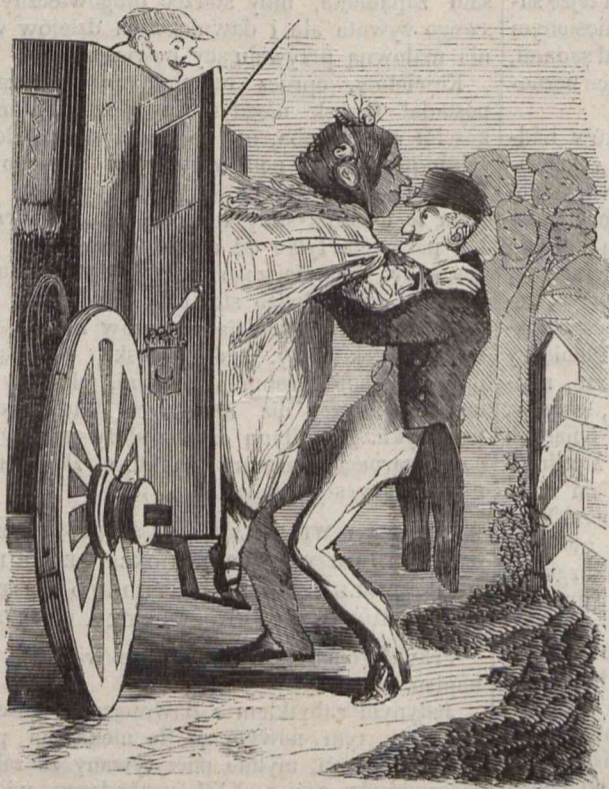
Z sześciu młodzieży zebranej na imieniny pani Nałęczowej, trzech było tylko z tej samej parafii, reszta z dalszych stron świata. Widywali oni Józję w kościele, ale od trzech lat zawsze woalem zasłoniętą gestym. Jak się to działo, nie wiemy, czy wrodzona skromność Józji radziła takie spowijanie buzi, czy też to była polityka stryjanki. Bo Magdosia i Nastka nigdy woalek nie nosiły, od roku miękają paradne i świeżuchne kapelusiki, a Józja od dwóch lat nosi ten sam kapelusz słomkowy, garnirowany skąpo; wypłowiwały już od dawna wstążki, słomka przybrudzona, salopka już na nią trochę za krótka; któżby też przypatrywał się takiej biedzie? Gdy jednakże Adaś, Grzes i Nestor przysięgli najuroczyściej w kółku kawalerskim, że Józja jest cudem piękności, a słodycz jej z niczym porównać się nie da, przy pierwszej sposobności w niedzielę, cały komplet jedenastu stanął w bramie wchodowej kościelnego ogrodu i czyhał na wysiadanie państwa Nałęczów. W tych jakos czasach pan Nałęcz kupił był landarę paradną, troszkę wyszarżaną, sprawił nowiuteńkie surowcowe szory, doprzął piątego konia i koniarka Macka awansował na lokaja. Nie widziano go nigdy w takiej paradzie, wielkie też podziwienie było w całej parafii, gdy woźnica tego ekwipażu zawracając przy karczmie, huknął dwa razy z bicza i składnie zajechał przed bramę z kościelną. W landarze byli oboje państwo Nałęczowie i trzy panienki. Znowu tak się zdarzyło, że Józję zapakowano głęboko. Najpierw uderzał za-

(3) Monografia ta znajduje się dołączona w końcu dzieła: *Dzieje Mazowsza*, za panowania książąt, przez F. Kozłowskiego.

party nosk Magdosi, wyglądający z pod różowego kapelusza, osutego wstęgami i kwiatami, dalej prezentował się gómułkowaty nosk Nastusi z pod niebieskiego kapelusza, ugarniowanego jeszcze strojnziej; dopiero po ich wysunięciu się z karety wynurzył głowę pan Nałęcz, a zaledwie stanął na nogach w ten moment rzucił się do witania kochanych sąsiadów, bolesne czyniąc wymówki, że na dom jego nie łaskawi. Temu witaniu przeszkodziła pani Nałęczowa, dla której drzwiczki landary były za wąskie, a Maciek rady dać nie mógł uwieźleń jejności. Na głos połowicy rzucił się w skokach chudy i wysmukły pan pan Nałęcz, a przy pomocy pchającej zapewne z tyłu

w jeden punkt skierowanych tyle oczu, pani Nałęczowa obróciła się także, ujrzała z wielkim zgorznięciem buzię zarumienioną Józii, spuszczone oczki, których powieki długimi rzęsami czarnymi daleko na różowe jagody zachodziły. Pani Nałęczowa widziała dobrze, jak słiczną jest Józia w tej postawie, dlatego pewno lękając się rzucenia uroku przez zazdrosne oczy ludzkie, poczęła Józję łajać, dlaczego nie wzięła woalki. Ale Józia z łezkami w oczach podniosła główkę i wskazała paluszkami na gors ciotki, pokazując zaczepioną do wielkiej broszy swoją podartą woalkę. Odczepiła ją co żywo troskliwa stryjanka, ale gaza tak popękała nieszczęśliwie, że niepodobna jej było użyć wię-

się względem jego domu znajdzie towarzystwo, gdy widoczna, że pan Nałęcz stanąwszy u kresu zamierzonego, chce dzisiaj dom otworzyć i zawiązać ze światem obszerne stosunki. Dało się słyszeć kilka odgrózek, odezwały się i głosy przypominające, że odosobnienie od świata i praca, nie są jeszcze podłości wykluczającą ludzi z towarzystwa... A panna Jadwiga słuchała tego wszystkiego pilnie i takie w jej serduszkach narodziło się przekonanie, że prędzej czy później dom państwa Nałęczów stanie się uczęszczanym, a jej zagrozi niebezpieczeństwo. Wiedziała i to panna Jadwiga, że posag krociowy ma niewzruszone prawo w spekulacyjnym duchu czasu, ale piękność abstrak-



Wydostał szczęśliwie połowicę i postawił na nogi.



Pani podsejdkowa kłaniając się wszystkim, na wszystkie cztery okolice świata błysnęła krynową warszawską.

Józii wydostał szczęśliwie połowicę i postawił na nogi. Teraz dopiero młodzież wytrzeszczyła oczy, milczenie było głuche przez chwilę, a po tej chwili milczenia jedenaście uśmiechów zadowolenia błysnęło w gromadce; przekonali się wszyscy, że Józia była przesłiczna dziewczyna. Temu odkryciu dopomogła mimowoli stryjanka dobrodziejka, zawadziwszy bowiem o woalkę Józii przy wysiadaniu z landary w drobne podarła ją strzępy, odsłaniając słiczną twarzyczkę siórotki dla zgromadzonej publiczności. Dodać i to trzeba, że Józia miała nowiuteńkie okrycie i kapelusik, chociaż skromny, popielatego koloru, ale nowym krojem, wybornie otaczającym ładną jej główkę. Zobaczywszy

cęj. Już pani Nałęczowa powzięła myśl zasłonić tę buzię chustką od nosa, ale na nieszczęście sięgnąwszy do kieszeni, wyciągnęła używaną chustkę, której niepodobna było rozwieszać. Ścisnęła więc tylko zęby i zawołała: „panienki naprzód!” Na tę komendę Magdosa i Nastka wzięwszy się za ręce, zasłoniły Józję z przodu, mama zaś z boku i ukryły w pochodzie przesłiczne lica Józine. Nie zapomniała stryjanka i o szyku w ławkach kościelnych, i tam przecież wdał się Bóg opatrzny, została tylko próżna ławka jedna, w presbiterium naprzeciwko okien. Gdy więc rodzina Nałęczów zasiadła, twarzy Józii nie było ukryć sposobu, a cała publika w kościele obróciła się ku temu wdzięków zbiorowi, a nawet trzy najfanatyczniejsze dewotki pochwalały usta z podziwienia.

Była jeszcze jedna osoba w parafii, którą niepokoić poczęły wieści, obiegające o urodzie panny Józefy Nałęczówny. Opowiadanie Grzesia zdawało się przesadzone jak zwykle, bo był zapaleńcem, gdy wielbił wdzięki. Ale zadrzała, jak flegmatyczny Nestor zachwycać się począł, opowiadając panie Jadwidze o wdziękach Józii:

— Rzecz dziwna, mówił: zkad tyle graczy w tym dziewczęciu? każde jej odezwanie się pełne wdzięku, uśmiech pełen słodczy, a poruszenie tak lekkie, powiewne! W tym wszystkim swoboda najzupełniejsza, żadnej sztuki, żadnej przesady. A wiadomo pani, że państwo Nałęczowie dotąd hermetycznie dom zamykali, unikając wszelkich stosunków ze światem, z familią nawet najbliższą nie żyli. Z nikąd nie mogło mieć to dziewczę wzorów ani przestrogi. Pan Nałęcz wiecznie spekulujący, robił i zrobił wielką fortunę; pani Nałęczowa zaawanturowała w swoje tylko gospodarstwo pachciarskie, guwernantki nawet porządnej nie mieli nigdy, a książek nie czytują wcale. Panna Józefa przekonała mię, że piękność prawdziwa ma tę własność, że zawsze przeświadczoną jest o sobie, pochodzi z źródła piękna, a każda jej działalność nosi cechy boskiego pochodzenia swojego!

Panna Jadwiga chciała prześladować animowanych sprawozdawców, ta broń stępiała natychmiast, bo żaden nie zapierał się ani na chwilę, że piękność panny Józefy i jej słodczy anielska robi wielkie i niczym niezacierające się wrażenie. Można się było tylko pastwić nad otoczeniem biędnej siórotki. Trzęsiono też długo życie człowieka chciwego dorobku, a nie bardzo przebiegającego w środkach. Nie stanął nikt w obronie pana Nałęcz; rzucono tylko zapytanie, jak

cyjnie uważana, ma także swoje prawa, których materialne względy nie dotyczą. Można rywalkom pogrozić posagiem, ale trzeba schylić głowę przed wdziękami i cnotą, gdy się walczy o prym czysto darami natury. A więc panna Jadwiga zaczęła być niesłychanie ciekawą zobaczenia na własne oczy tego skarbu nowo odkrytego, aby dowiedzieć się, z kim ma do czynienia. Niedługo czekała na to upragnione spotkanie, a gałęzista brosza pani Nałęczowej spowodowała, że nic nie zakryło się przed oczami panny Jadwigi, co tylko surowa krytyka widzieć chciała. Strwożyła się panna Jadwiga na widok Józii; opowiadania trzech kawalerów zaledwie dały błąd rysunek jej piękności. Teraz panna Jadwiga sięgnęła rączką,

(Ob. Dod.)

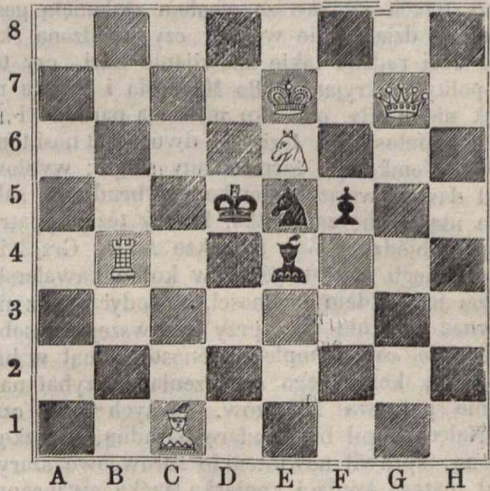
SZACHY.

ZADANIE LXXVIII.

Z. Rosenthal z Suwałk.

Białe zaczynają i dają matę za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

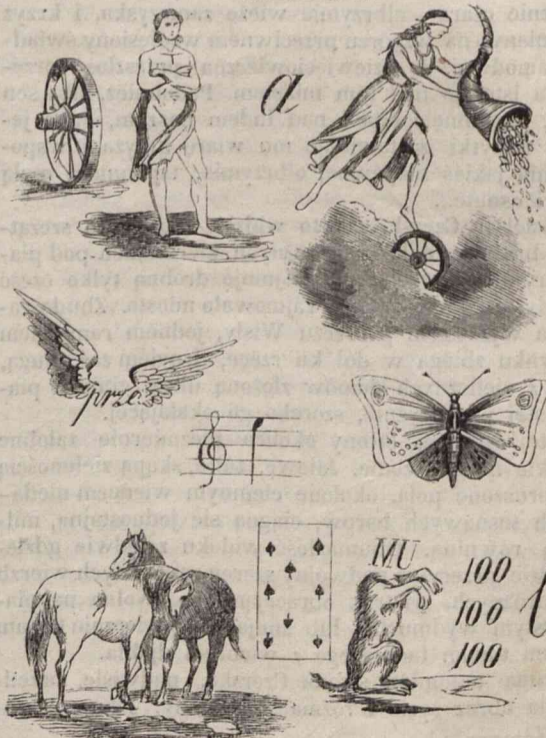
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 77.

Białe.

Czarne

- | | |
|-------------|--------------------------|
| 1) G4 — G2† | 1) F4 — H3 biorą. |
| 2) D5 — F4† | 2) H3 — F4 biorą |
| 3) H7 — H6† | 3) F4 — G6 |
| 4) F3 — F4 | 4) H4 — G2 biorą† i mat. |

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 400.
Pies nie gryzie, jeżeli psa kto za ogon nie ciągnie.
(Dodatek.)

i mimo to że siedziała w cieniu, jeszcze jej oczęta blask raził, więc zapuściła woalkę na swoją twarzyczkę...

Ale panna Jadwiga modlić się nie mogła, ta dystrakcja rozproszyła jej ducha, a woalkę miała w desenie, taką, że z za niej obserwować można było wszystkich, jej zaś oczu nikt skonfrontować nie mógł co by robili. Co kilka minut tedy kierowała je ku Józii, usiłując doszukać się jakiejś wady w jej piękności, ale najkapryśniejsze wymagania nie znalazły. Co zaś najgorsze, to że jedenastu kawalerów z parafii ściśnioną kolumną zebrało się naprzeciwko tego nowego słońca i poilo jego promieniami, ani podobna było wątpić, że wszyscy są zachwyceni. To zachwycenie reprezentował najenergiczniej Grzesio, mający ciągle na wierzchu obadwa rzędy zębów białych i rumiane policzki sfaldowane uśmiechem zadowolenia. A co gorsza, panna Jadwiga na własne uszy posłyszła, jak wybuchnął z admiracją i szepnął wyraźnie do ucha Antosiowi:

— Jak rany boskie kocham, tak nie widziałem nie podobnego jak żyję!

Na co, z wielkim zgorzaniem panny Jadwigi, elegancki Antos kiwnął głową i uśmiechnął się wielbiąc!

Powróciwszy z kościoła do domu, mimo to, że pan Grzymała zaprosił kilka osób na obiad i wszyscy przyjechali zaraz po nabożeństwie, panna Jadwiga zamknęła się w swoim pokoju i długo nie pokazywała. Wysiedziała ona przed zwierciadłem swojej toalety bardzo długo, układając włosy, muskając śliczne brwi swoje, prostowała rzesy u powiek, ale w żaden sposób nie mogła dociągnąć do tej długości jak miała Józia. Udało jej się przeciw podmalować na ciemno ócz samych oprawę, a gdy już była najzupełniej zadowolona z siebie, raczyła ukazać się w salonie i odebrać holdów... ale pięć tylko. A te holdy uboższymi stały się jeszcze, kiedy Adaś powiedział, że czterech młodych sąsiadów jego dało się uprosić panu Nałęczowi i pojechali na obiad do Bierzenicy. Znowu na stół wprowadzono żywota pana Nałęcza, trzęsiono niemilosierdzie, ale już nie było niko-go, koby powiedział, że zamknięcie się przed światem i praca usilna nie są jeszcze podłością. To państwo na opiekunach nie zagłuszyło niepokoju panny Jadwigi. Widziała całe swoje niebezpieczeństwo, jedno spojrzenie po świecie rywalki zabrało jej połowę wielbicieli parafialnych, kto wie co będzie dalej? Ludzie tak często spuszczają z wymagań swoich, głos serca odzywa się nieraz niespodzianie i niweczy rozumne wyrachowanie. Rok też wcale dobry na rolników tej okolicy. Antosiowa dzierżawa stoi na propinacji, jak to zwykle na królewskiej, a ziemniaki ma tego roku bajeczne. Edward robiący bokami na swojej dzierżawie, tego lata postawił pięć brogów z pszenicy, a pszenica w ogromnej cenie. Jak ludziom dostatnio, niemasz kłopotu o jutro, pozwalają sercu kierować się dowolnie, upada spekulacja. Najbardziej nawet w parafii podzwigli się tego roku na nogi. To samo dzieć się musi i na reszcie świata. Pomnożenie się gotowizny pana Grzymały nie już nie pomoże, kto ma dosyć, to jakieś tam sto tysięcy przyrosło, do posagu mało go obchodzi.

Cóż tutaj począć? Właśnie łamała nad tym główkę panna Jadwiga, ale i wymyśliła, to jest, nie wymyśliła nic nowego, ale uchwyciła się starą zasadą i powiedziała sobie w duszy: lepiej stracić dziesiątą część a ocalić resztę. Otóż postanowiła wydać za mąż Józję jaknajprędzej i zostać absolutnie panią dziesięciu pozostałych niewolników, straconego zaś odzyskać przyciągnięciem Władysława Toporczyka. Była ona tego pewną, że w XIX wieku niemasz takiej fortecy, któraby się wziąć nie dała, a więc i pan Władysław pomimo surowości swoich zasad, ulegnie i poddać się musi.

Stosunki Grzymałów z Nałęczami, od wojny prowadzonej za czasów piastowskich, nigdy na serdeczne zamięnić się nie dały. Nie pamiętano w Wielkopolsce, aby kiedy Nałęcz ożenił się z Grzymalanką lub przeciwnie. A lubo z biegiem czasu odmieniły się same charaktery rodów, Nałęcz począł być zbieraczem i dobijał się potężnego stanowiska, a Grzymała rozpraszał dostatki, a co działo się wprost przeciwnie za Piastów: zostało jeszcze z dawnego czasu jakieś zimno między sąsiadami; pan Grzymała, ojciec Jadwigi trzymał się zdaleka od pana Nałęcza, stryja Józii. Nieznacznie jakoś dowiedziała się Jadwisia, że na tabliczce notowania etykiety sąsiedzkiej, wizyta od pięciu lat należała się Nałęczom od państwa Grzymałów. Jak znacznie czegoś napięć się jedynaczka, zazwyczaj wyprosi. Mimo wyraźnego odzywiania się o krzywych interesach pana Nałęcza, Grzymała zdecydował się dać przykład chrześcijańskiej miłości i

zgodę, postanowiwszy oddać zaległą wizytę do Bierzenicy. Panna Jadwiga już była spokojniejszą. Teraz pozostawało tylko wybrać ofiarę ze swojej falangi adoratorów, i ten wybór był nietrudny, Grzesio miał być kozłem ofiarnym.

IV.

Turnieje panieńskie.

Panna Jadwiga poczęła być niesłuchanie słodką, miłą, uprzejmą. Zdawało się ludziom, że odmieniła się niesłuchanie na korzyść. A to nie była prawda. Panna Jadwiga wiedziała jak kawalerowie wychwalają słodycz charakteru panny Józefy, wiedziała, że ta słodycz smakuje. Ale też ona temu nie winna, że obdzielić bardzo hojnie nie mogła dziesięciu adoratorów swoją słodyczą. Jak ich zostało pięciu, każdemu zdwoiła się racya, przy szafunku tego samego prowiantu dziennego. Józia ma wiele słodyczy, bo to kwiateczek rozwinięty świeżo, pozowią się pierwsze pszczołki obficie, które rano wstały; zobaczycie ile zostanie miodu na wieczór ostatni w roku, gdy dziesięć pszczołek karmić przyjdzie?

Zachmurzyło się czoło pana Nałęcza, gdy w dzień imienia swojej połowicy zobaczył jeno starych znajomych, których przyjaźń cenil tylko dla płynącej z tego związku intraty. Dobry był pan nadleśniczy, gdy przedawał dla przyjazni tanię skarbowe sosny; dobry pan podsędek, gdy wypędał skarżących formalni, ratai, owarzary, ekonomów o urwane zasługi; dobry komornik, który wydusił każdą nabytą sumę przez pana Nałęcza; dobrzy jego rodzeni dzierżawcy, którzy pracowali jak konie, a on wydusił z nich grosz każdy i jeszcze dowiódł, że mu winni wdzięczność ogromną. Ale dzisiaj pan Nałęcz powiedział sobie: „Mam już dosyć!“ Nie myślał dorabiać się więcej, teraz chciał użyć i pokazać ludziom dostatki, odziać dom chwałą. Całe życie zdawało mu się, że kto tylko w radle i kieliszki zadzwoni, ludzie się zbiegną na stypę i kochać będą chlebodawcę. Objechał wszystkich, komplementował, sławił cnoty swojej połowicy, rozwijał nadzieje z dzieci i synowicy, wszyscy słuchali grzecznie, wyrażali się przychylnie, obiecywali na wół przyjechać, jeżeli jakie okoliczności nie przeszkodzą, a właśnie te nieszczęśliwe okoliczności zatrzymały wszystkich w domu. Przybywające damy witał grzecznie ale zimno, tak mało na nie zwracając uwagi, że nawet nie spostrzegł tego co się stało pani podsędkowej. Oszczędną damę nie chcąc wygnieść swojej nowej grodeturowej sukni (którą jej kupił mąż po ostatniej kommissy, na którą jeździł dla wysledzenia szkód i przyczyn pożaru w fabryce cukrowej), siadając do niezbyt czystej planuwagi najętj, zadarła spódniczkę na plecy na podobieństwo półkarcia. Gdy wysiadła, służba państwa Nałęczostwa nieświadoma mody, odebrawszy wiérzechnie okrycie, nie widziała potrzeby zapuszczania opony na krynolinę. Pan Nałęcz w ciągłej dystrakcji, podał rękę pani podsędkowej i wprowadził do salonu. Grzeczna dama kłaniając się wszystkim, na wszystkie cztery okolice świata błysnęła krynoliną warszawską, z czego Magdosia i Nastka poczęły śmiać się do rozpuku, a pani komornikowa trybunalska ucieszyła się niesłuchanie kompromitacją starszej od siebie figury. Pani nadleśniczowa zakryła szyderski uśmiech chustką od nosa, której cyfra ogromna jak austriacka karta od taroka, zaimponowała niesłuchanie proboszczowej siostrze. Naprawdę siliły się Żydki, wygrywając od ucha wiaty, za każdym pojawieniem się powozu lub bryczki, panu Nałęczowi humor nie wracał, a pani Nałęczowa, rozumiejąca doskonale męzowskie myśli, postanowiła do połowy zmniejszyć przygotowaną obfitość. Jakoż wymknąwszy się na chwilę z salonu do garderoby, kazała pozgarniać do stojów konfitury przeznaczone do śniadania, powynosić do piwnicy z lepszym winem butelki, a ze stołu sprzątnąć kieliszki od szampana. Na stare znajomości wystarczała tak anglezowana uczta, do której też niebawem znać dano. Odbyła się jeszcze ceremonia o pierwsze miejsce przy wazkim stole, gdy pani podsędkowa i nadleśniczowa równe były wiekiem, wzięło górę nad, zachmurzył się podsędek, przeczuwając burzę za powrotem do domu. Za to nadleśniczy, zaraz po zupie nalał kielich, i sutą zagaiwszy przemową, wniósł toast za zdrowie solenizantki. Gdy podziękował gospodarz, wino, zwłaszcza że nie często używane, rozpedziło chmury z jego czoła. Chybiła celu ta pierwsza uczta, to prawda, ale zawsze było pięciu kawalerów, których podjąwszy hojnie z całą gościnnością, można i do domu przywizać, a pewno jeszcze i przywabią kogoś więcej, głosząc hojność gospodarską. Kiedy używać, to używać, wypita tedy i pani Nałęczowa kieliszeczek winka damskiego, malagi, z czego wynikło

poprawienie humoru. A gdy rozochociona młodzież poczęła bawić się naiwnością Magdosi i Nastki, nietylko admirując Józję, wymkła się znowu gosposia na chwilę, po jakimś tajemnym znaku męża, wjechało szampańskie wino i para butelek starego maślaczu, po którego odkorkowaniu aż oblażał się kochany podsędek i kichnął, jakby zażył prawdziwej rapy.

Po skończonym obiedzie zaczęły się tany ochocze w których wzięły udział nie tylko panienki, ale i obie magnifiki urzędowe, nadleśniczowa z olbrzymią cyfrą haftowaną u chustki od nosa i podsędkowa w grodeturowej sukni. Zabawa byłaby się długo w noc przeciągła, gdyby nie przesadzona gościnność gospodarza, który, pozaléwał gości, sam pijąc najpierw farbę, a nareszcie ochotą powszechną uniesiony, spełniając winem toast za toastem. Około drugiej w nocy rozjechało się, a raczej porozwożono całe towarzystwo, podsędko zaś wsadzono bezwładnie jak bochenek chleba do pieca. Zachował przeciw nieco przytomności umysłu, bo ciągle powtarzał: „Basineczku, Basinku, to nie moja wina ale twoja, że niesiedziałaś na pierwszym miejscu, trzymałaś się za miękko przy ceremoniach z Nadleśniczową.“

Kiedy już pojechali sobie wszyscy, pan Nałęcz kazał sobie zlać głowę zimną wodą, ubrał się w nowo sprawiony szlafrok i zasiadł do samotnego dumania przed ukochanym kantorkiem, poczynając rachunek taki:

— Józję trzeba wydać za mąż; z tych czterech każdy dobry, nie o to mi chodzi. Moja Magdosia ma szesnasty, a Nastka rok piętnasty, czasby z ludźmi wejść w stosunki. Robiłem co mogłem, przerachowałem się jednakże, bo ludzie mają jeszcze tę głupią ambicję... powoli, powoli Mateuszku, zobaczymy dalej... Grzymałowie zadzierają nosa, Jelitowie spolitykowali, chociaż mam u nich na hipotece czterdzieści tysięcy, jutro posyłam, urzędowe wypowiedzenie kapitału. Państwo marszałkowie zobaczą co ja mogę, chcą przez towarzystwo kupić Zalesicze, otóż ja przystąpię do licytacji i poratuję wierzyteli zagrożonych. Pan Godziemba chce nabyć część od szlachcica w Stachurach, wytrzymuje biedaka, pojadę jutro i starguję stanowco. A z panami z Krzywoszowa pomówimy o wspólnym pastwisku i wrębie, przynależącemi mnie z dziedzictwa Górki Krzywoszewskiej... pomówimy potem o sąsiedzkiej przyjaźni!

— Mój Mateuszku, jakiś też ty dziwny z podobnymi projektami, zagadła go żona, która weszła po cichu i podłuchała męzowskie rachunki z sąsiedztwem. Nie spuszczała się na swój rozum jedynie; ja mówiłam że szlachcic im bardziej goły tym bardziej szlachcic. Trzeba było mnie pozwolić kierowania tą sprawą. Nie wdawaj się tylko, a ja ci ręczę że na św. Mateusz będziemy mieli całe sąsiedztwo u siebie w domu. Jak zaczniesz pozywać, straszyc, wiesz co powiedział mi Grzesz pijany? Oto słuchaj: kiedy go rozczuliło wino, poczęł mię całować po rękach, odwdzięczając komplementa, których mu nie żałowałam, bo przyznam ci się, że go wzięłam na oko i chciałam zachęcić do Józii...

— Zaczekaj aska, Grzesz może się przydać dla naszej Magdusi za jakie dwa lata.

— Mam ja na widoku lepsze partye dla naszych dzieci, a pamiętaj że z Józją pilno, bo ładniejsza od naszych. Otóż całujący mię po rękach Grzesio, przyznał się do kuzynostwa ze mną, a w czułości wielkiej powiedział: „kochalbym dom kuzynki, kochaliby go bardzo wszyscy sąsiedzi, dosyć macie chleba, niepozwalaj kuzynka szargać się tylko męzowi spekulacyami brudnymi, bo to sąsiadów odstręcza, to brzydkie rzeczy na szlachcica“...

— Głupi twój Grzesz jak słowe nogi!

— Dlatego też powiedział mi wręcz co o tobie trzymają ludzie...

— Cóżes ty lepszego odemnie? Tak ty zbierasz z warzywa i obory, jak ja z zagona...

— Dziwak jesteś, a niecierpliwy! Otóż słuchaj, lepsza jestem bo mię za lepszą mają. Udaj tedy że nie widzisz, a ja sobie dam radę z ludźmi i jaką będę chciała cizbę, z taką do domu sprowadzę!

Jeszcze trochę burczał się pan Mateusz, ale przystał nakoniec po nieszczęśliwej swojej próbie chociaż mu żona planów swoich niewyłożyła.

Ruszyła tedy pani Nałęczowa swoim konceptem, który był wcale niezły. Wystrzeliła Józję jak lalkę, swoje zaś córeczki jaknajskromniej i ruszyła po wizytach w sąsiedztwo. Tam nieznacznie szepnęła w ucho każdej sąsiadce ile ją to kosztowało pracy i zgryzot wydobycie męża z nieustannej gonitwy za zyskiem, aż przeciw wyperswadowała mu robienie coraz większego majątku. Następnie opowiadała boleści swoje z powodu zaniedbania przez męża rodzonej synowicy, która jest aniołem dobroci. Jak ona to całe życie oszczędzała żeby ubierać dla Józii na sutą wyprawę,

bo mąż źle zrobił że kupił chociaż bardzo zdłużony majątek po rodzicach sieroty. Żli ludzie mogliby zawsze powiedzieć że zyskał na tym, otóż ona pokaże jak sobie poradzić umiała w tej sprawie. A przytém Józinkę całowała pieściła w oczach wszystkich, musieli więc uwierzyć wszyscy w jej poczciwe serce, i skłaniali się do rewizytowania nieszczęśliwej, a poczciwej kobiety. Zachodom pani Nałęczowej przyszła niespodziewana a dzielna pomoc, w osobie panny Jadwigi. Aż usta otworzyła pani Mateuszowa, gdy w tydzień po jej imieninach, w samą oktawę zajechała karetą przedewór i wysiadać poczęli państwo Grzymałowie. Wybiegła tedy witać z rozwartymi rękami najdystyngowańszych gości, o których przywabienu do domu marzyć nawet nie śmiała. Do trzeciego razu przefflamowywała ojca, matkę i córkę, podścielała poduszki, najpyszniejsze swoje konfitury dobyte ze słojów, a słoje nie poznaczone zostawiła do wiernych rąk pannie służącej, którą też zaraz i sama poczęła w nich zerować i odłożyła coś na bok dla ogrodniczka, w którym się kochała. Pan Mateusz przybiegł z pola zadyszany a wytrzępał Maćka harapnikiem po plecach za to że biegł powoli dając znać o przybyłych w dom gościach. Prawie na ręce porwał kochanego sąsiada, wydobyl z piwnicy najstarszego wina, wnosząc toast za zdrowie pani Grzymaliny. Do drugiego toastu zdążył przyzwany proboszcz, za zdrowie panny Grzymalanki, do czego też zaraz i oracyjkę wypalił, czcąc owieczkę parafii swojej, która miała runo najdelikatniejsze, najwyrośnięte i nabite... A trzeba wiedzieć że ksiądz był owczarz zawołany, stadko zaś jego choć nie liczne ale cudownie piękne, tak iż dobijano się w okolicy o barany z jego owczareńki.

Kiedy dzieje się takie świadczenie godności, a we trzech dobrze obraca się kielich, pani Nałęczowa szepcze w ucho swojej najukochańszej sąsiadce spowiedzie serdeczne, tęsknotę do świata, boleści osamotnienia i już całują się gorąco sąsiadki. Panna Jadwiga nie próżnuje także, wsuwa się pomiędzy panienki, komplementuje Magdusię i Nastkę, ale do Józki przypina się najserdeczniej, rozpamiętywa lata dziecinne, przypomina starą znajomość rówieńczek, liczy uplynione w przerwanym stosunkach lata i zaprasza do dawnego kochania najdroższą lat dziecinnych towarzyszkę. Józki serce upragnione kochania, nic dziwnego że ścisła Jadwisie i całuje, że z jej oczek błyszczą dwie łezki dyamentowe z radości. Kielich między mężami, szepcy między żonami, a uściski pomiędzy dziećmi związały przyjaźń serdeczną. Późno w wieczór, po sutęj kolacji trzeba było nareszcie odpuścić kochanych gości, przy pożegnaniu tłusty Grzymała aż posiniał w uściskach Nałęcza, a chudem Nałęczowi zebra chrupnęły w objęciach, Grzymały. Proboszcz błogosławił przyjaźń sąsiedzką tę przyjaźń zaprzysięgły sobie sąsiadki, a dziewczęta zacałować chciały Jadwisie.

Bodajto żyć z ludźmi spragnionymi towarzystwem. Na drugi dzień cała rodzina Grzymałów odchwalić się nie mogła gościnności Nałęczów; poczęto nicować postępkami Mateusza w spekulacyach, uciął tę gawędkę młodzieży pan Grzymała, zaręczając że niesłyszał nigdy o brudzie jakim Nałęcza, a że skąpił przez lat tyle, to potrzebował tego, aby odwetować liczne ubytki poczynione przez zbytnią marnotrawność przodków. Goście zobaczywszy zmianę kierunku wiatru powiedzieli też co słyszeli o długoletnich cierpieniach pani Mateuszowej, aż jedno z drugim złożywszy, dano Nałęczom najzupełniejszą amnestją za przeszłość. Po części miał racją Mateusz licząc na skuteczność dzwoniącego rądla i kieliszka ku rozpędzeniu chmur towarzyskiego żywota!

Panna Jadwiga tymczasem przeprowadzała swój plan, pochwały słyszane o Józki podnosząc do dziesiątej potęgi. Ta bezinteresowność Jadwigi spowodowała niesłychanie czule uwielbienie Grzesia, który głośno wykrzyknął:

— Wiedziałem, że panna Jadwiga przesliczna, ale jak rany boskie kocham! tak niewiedziałem że ma jeszcze śliczniejsze serce! To pierwsza ładna kobieta którą słyszę wielbiącą, urodę inną, jak rany boskie kocham!...

Całe towarzystwo było oswojone z wybuchami adoracji Grzesiowej. Wszelako to odkrycie spowodowało powszechną admiracją, która zamieniła się w cześ niesłychaną, gdy Jadwiga oświadczyła że musi wyrobić sobie u pani Nałęczowej, aby pozwałała Józki bawić się u jej rodziców po kilka tygodni. Spozrzęła bowiem w dziewczęciu niepospolite zdolności muzyczne, które warto wyrobić, udzielając niektórych rad, jakie zdadzą się bo pochodzą od wybornego nauczyciela którego miała Jadwiga; Józka zaś fałszywe wzięła początki.

Jakoż w dni kilka zjechało stadko Nałęczów z re-

wizytą; ten sam wypadek z uwięzieniem pani Nałęczowej w drzwiczkach, za szczupłych na jej tusze, pan Grzymała wydobyl ją jednakże bardzo zręcznie, a Józka nie miała żadnej już woalki u kapelusika wcale ładnego. Wznovione stosunki zanosły się na serdeczniejsze coraz; Jadwisia pomagając matce w robieniu honorów, przesadzała gościnność pani Mateuszowej, czem zdobyła sobie jej serce całkowicie. A gdy zaproponowała ażeby jej pozwoila Józki na kilka tygodni, pani Mateuszowa, lubo z boleścią serca rozstawała się z tym najdroższym swoim skarbem przecież obiecała że ją wkrótce odda do wiernych rąk pani Grzymaliny i jej córeczce. Dzisiaj zrobić tego nie może; bo po dorosnięciu panienki trzeba pomyśleć o pewnych reformach w jej garderobie, do czego potrzeba czasu, a może i wyprawienia się do Warszawy lub Wrocławia.

Tymczasem Pani Mateuszowa wcale inne miała powody, wiedziała ona że Józka jest wabiem na młodych ludzi, takiego wabia pozbywać z domu niemożna, dopóki się nie wgrzyzie lepiej w stosunki z ludźmi tak potrzebne przy dorastaniu córek niebardzo urodnych.

A Józka opamiętać się niemożła w tej nagłej losu odmianie. Miałaby jej modlitwy być wysłuchane od Boga sprawiedliwego, kiedy Go siéroca pokorą prosiła o słodycz dla stryjanki, o życia trochę dla suchego stryja, o grzeczność dla siostrzyczek stryjenczych, o ciszę dla swojego pokoiku... A tu Bóg dał więcej daleko, bo dał jeszcze przyjaciółkę serdeczną, dał widzieć dorodnych i kochających ludzi, a nawet pokazał kawalerów ładnych, którzy na nią takimi oczami patrzeli jakby wszyscy kochać i być kochanymi chcieli. Teraz sierota już nielekkała się jak stryj powracał z podróży i niepodglądała dziurką od klucza gdy wypadkowały mantelzak i tłumok od pościeli, nie bała się już kunkurenta. Wszelako jeszcze skrapiała łzami poduszeczki swojej pościeli, kiedy spać się kładła, modliła się tak samo gorąco, ale lzy i modlitwy sieroty były dziękczyniem samém, a dawały roskosz wielką. Gdy zasnęła marzyła o niebie, w tém niebie z samej światłości, z tęcz z róż fioletów i konwalii utkaném siedziała na tronie Boga-Rodzica, Marya Częstochowska, przy jej nogach błada postać nieboszczki matki i aniołów chóry śpiewające słowiczym glosem...

Gdy się zbudziła, chociaż jej teraz było tak dobrze było tak dobrze u stryjostwa, czuła jednakże jakąś tęsknotę. Zaraz wspominała się Jadwisie, najdroższą przyjaciółką i jeszcze brakowało czegoś. Ale coby to było niewiedziało biedne dziewczę, tylko czuło, że jej serduszko kołacze, że raz się ścisła to znów nie boli a te serdeczne turbacje wcale boleściami nie były...

Rozwiązała się przecież niezadługo ta zagadka dla Józki, co to wyrabia jej serce. Gdy bowiem stryjanka uprowidowała jej garderobę, Jadwisia natarła silnie o dotrzymanie obietnicy, więc pani Mateuszowa już pewniejsza gruntu pod sobą, powierzyła Józki państwu Grzymałom na kilka tygodni.

Chociaż tak dobrze było u stryjostwa Józki, przecież bez żalu zabrała się i pojechała z Jadwisie, która sama przyjechała po nią karetą, z waszami, aby zapakować garderobę potrzebną Józki.

Panna Jadwiga ulokowała ją ze sobą w swoim pokoiku, pieściła, całowała, chwaliła, cesała, fryzowała, pojąc się urodą w każdym stroju zyskując nowe pojęty. Kiedy razu jednego po zrobieniu rannego toalety padły w swoje objęcia młode przyjaciółki, Jadwiga odezwała się w te słowa:

— Jesteś przesliczna Józinko, jaki to szczęśliwy będzie ten mężczyzna którego ty pokochasz, który cię pojmie w małżeństwo!

Na te słowa niepojęte uczucie roskoszy i trwogi wstrząsnęła biedną Józki, zbladła i zarumieniła się znowu, serduszko zakolała gwałtownie, ścisnęło się się po dawnemu i znowu boleć przestało... przetarła oczki sierota i zdawało jej się że naraz odgadła wszystkie wewnętrzne niepokoje tego serca... ona zapragnęła kochania. Biedne dziecię z taką niewinnością, z oczą polaty się dwa łez sznureczki niby dyamenty cudnie szlifowane i na dyamentową nawleczoną nitkę. A potem rozśmiała się serdecznie i całowała Jadwisie...

— A może ty już kochasz którego filutka? przyzna no się...

— Jak cię kocham tak nie... kogóż ja znalazłam na świecie?

— Znałaś Adasia...

— Widziałam go dwa razy...

— Znałaś Nestora...

— Taki brzydki!

— Znasz Grzesia przecież...

— Widziałam go trzy razy.

— A... Władysława Toporczyka?

— Widziałam go... też trzy razy tylko.

— I żaden nie utkwil ci w pamięci?

— To nie dla mnie kawalerowie, ja biedna sierota...

— Sierota? ty masz skarby niesłychane... a niewiesz o tém... Czy przypatrywałaś się tym chłopcom, który też obserwuje cię najpilniej?

— Oni wszyscy patrzą na mnie jednakowo, aż się ich boję.

I znowu wyliczała Jadwisia kolejno znajomych Józki chłopców, pytając, którego się bardziej boi, a na pytaniu o Władysława położyła więcej przycisku i znaczenia. Biedna sierota żadnego nie przenosiła nad drugiego, ale przyznała, że wszyscy bardzo ładni.

Uspokojona Jadwiga spostrzegła że teraz czas, że w samo prawie podrzuci imię jakie zechce sama, a Józka głodna kochania weźmie to imię w serce. Zawałała się jednak chwilę i pomyślała jeszcze nad każdym, aby wybrać koźla ofiarnego z dziesięciu swoich wielbicieli: koniec końcem zawsze najmniejsza wartość Grzesia, dla tego że był najłatwiejszą zdobyczą, a więc:

— Ty tego niewidzisz Józinko, który ciebie kocha?

— Mnie sierotę?

— Ciebie, ciebie i kocha bardzo mocno. Ja dawno wiem o tém, a kocha cię chłopiec dobry, przystojny, prawdziwy mężczyzna, za którego... poszłabym niezawodnie sama, gdyby o mnie starał się tylko...

— Który? zapytała niesłuchanie zaintrygowana Józka.

— Grześ! powiadam Ci, Grześ! chłopiec tegi, dziarski...

— To ja ci go ustąpię Jadwisie kochana, jeżeli mię kochasz to go weź sobie, ja mu powiem że go chcesz on cię zaraz pokocha... bo któżby ciebie nie miłował z całej duszy! I poczęła ścisnąć i całować Jadwisie.

— O! dziecko, dziecko... albow to można odstąpić kochankę dla przyjaźni? On ciebie kocha z całej duszy, z całego serca, twój obraz tak w jego duszy wyryty że tylko z życiem razem wydrzeć go można...

— Jezus, Marya, Józefie święty!

— Czegożes się zlekła?

— Bo mi tak prędko serce bije, tak się boję...

— A stanęła ci na oczach postać Grzesia?

— Zdaje mi się że stanęła...

— A widzisz, to i ty go kochasz a niewiedziałaś o tém... miło ci o nim myśleć?

— Zdaje mi się że miło... ale cicho! na Boga cię proszę... nie mów o tém nikomu bo jaby umarła ze wstydu...

— Naturalnie że niepowiem... to nasze tajemnice panienskie, które nie powiadają się nikomu...

— Ktoś trzaska z bicza... goście przyjechali...

— Zaraz zobaczymy kto taki. Jadwiga dzwoni, służąca wchodzi...

— Kto to przyjechał?

— Pan Grzegorz z Baryczy i pan Władysław z Toporowa.

Obie dziewczyny zapłonęły na tę wiadomość.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Fundusz gromadzki.

W ostatnich czasach dzienniki polskie zajmowały się usilnie ważną niezmiernie sprawą podniesienia moralnego i materyalnego naszych włościan. Z jednej strony oczyszczanie i skup, z drugiej założenie szkółek, ochron szpitali, kass oszczędności, banków pożyczkowych i t. p. zakładów cele moralności publicznej i pomocy ogólnej na widoku mające, są przedmiotami żywych rozpraw, które wyświełtła najwłaściwszy kierunek i sposób urządzenia tych brzemiennych w pomysłne skutki instytucyj. Uznając całą ich ważność i potrzebę, chcielibyśmy na tę sprawę rzucić pogląd nietyle z punktu teoretycznego, ile raczej z praktycznego, a mianowicie zająć się pytaniem, kto i jakimi środkami te instytucje wprowadzi w życie i myśli piękne przez naszych pisarzy rzucone urzeczywistni. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, iż aby otworzyć szkołkę, ochronkę, szpital i t. d. niedość dobrego dla nich instrukcyi, ale potrzeba odpowiednich fundusów. Zkąd ich wziąć zaraz i w dostatecznej ilości, oto główny punkt pytania, którego rozwiązaniem zająć się potrzeba.

Najprawdziwszą bez wątpienia jest zasada, aby każdy dojrzały członek społeczeństwa sam myślał o swoich interesach, własnymi siłami przygotowywał sobie pomyślność i zapewnił rozwój. Tą tylko drogą można postępować pewno, bo samoistność i samodzielność stworzą ów porządek rzeczy niespożyty, który się zmienia, kształci, ale nie upada nigdy.

Jeżeli te wszystkie zakłady o których mówiliśmy wyżej mają być trwałe, oprzeć się muszą na własnych swoich środkach, jakich dostarczyć powinni ci, którzy z nich korzyści odnosić będą; bez najmniejszej więc

wątpliwości środków do urządzenia i utrzymania zakładów wiejskich dostarczyć winna gromada, czerpiąc z siebie potrzebne zasoby, bo ona w istnieniu szkółki, ochronki, szpitala, kassy i banku ma interes ciągły i nieustający. Nie usuwa to jednak inicjatywy właścicieli, bo dziś członkowie gromady nie dojrzą jeszcze częstokroć swoich własnych korzyści, lub nie wpadną na trop właściwy.

Życie gromadzkie, jakie przy nowym urządzeniu stosunków włościańskich powstać musi, odpowiadając dawnym a niezniszczonym jeszcze tradycjom, udzieli nie wątpliwie skutecznej opieki i podpory zakładom i instytucjom, które najdzielniej podnieść je mogą, dając włościanom oświatę, wychowanie, tuląc nędzę, wspomagając pracowite ubóstwo i zapewniając im pomyślność i wygodę. Urzeczywistnienie tych życzeń a raczej potrzeb gminy, zależy bezpośrednio od funduszu gromadzkiego, który stanowi jeden z najważniejszych warunków życia gromady i pieczołowitości o dobro publiczne, dostarczając środków nieodbito do tego potrzebnych. Chcąc przeto w kraju naszym położyć trwale zasady instytucji pożytecznych, należy przedewszystkiem pomyśleć o jaknajspieszniejszym wytworzeniu funduszu gromadzkiego, któryby swemi procentami oraz ciężarami rozłożonymi na członków gminy, posłużył do założenia i utrzymania szkółki, ochrony, szpitala, kassy pożyczkowej i depozytowej, szkółki drzew, dróg publicznych, mostów, sprowadzania sztuk rozplodowych, i t. d.

Dziś większa część gromad nie posiada żadnego majątku, a pastwiska lub lasy gromadkie, gdzieby się znaleźć mogły, nie przynoszą kassie gromadzkiej żadnych korzyści ani wpływów. Wszystko więc na tej drodze jest do zrobienia, a korzystanie z chwili obecnej przemiany stosunków włościańskich, jako z najdogodniejszej pory do tego, obowiązkiem obywatelskim tych, którzy do ludu zbliżeni, dzielą jego prace i jego dolegają lub dobrą.

Pilność wytworzenia i niezmierna ważność funduszu gromadzkiego, zmusza do korzystania na rzecz jego z każdego źródła, jakieby się tylko mogło przedstawić, mianowicie zaś z takich, któreby warunkowały współdziałanie wszystkich żywiołów składających się na gromadę; wtedy bowiem fundusz, wytworzony pracą i staraniem wszystkich, będzie własnością ogółu szanowaną i przez ogół strzeżoną, bo każdy na niego czastkę swoją złożył. Zasada ta, którą surowo przeprowadzić potrzeba, nie wyłącza ofiar stanów zamożniejszych, a przedewszystkiem obywatelstwa, które niemi spłacić powinno moralne długi zaciągnięte u kraju w przeszłości i położyć podstawę pomyślnego rozwijania się na przyszłość. Granic dla ofiar tych zakreślać nie można, zależy to bowiem od dobrej woli i chęci obywatelstwa, a częstokroć od jego zamożności. Przyłożenie się do wytworzenia funduszu gromadzkiego, da mu prawo do współdziałania w życiu gromady, gdzie jako czynnik inteligentny wielkie oddać może przysługę.

Darowanie summ jednorazowych dla założenia kassy pożyczkowej, gruntów pod szkołę i ochronkę, lub szpital albo kuźnię ogólną; urządzenie apteczki, wzorowych i doświadczalnych ogrodów, wspomaganie szczepami szkółek owocowych gminnych—oto pierwsze i najprostsze ofiary, które wszędzie niemal dają się złożyć na zaczątek gromadzkiego majątku. Idąc dalej, obywatelstwo, gdy zechce, znaleźć może inne źródła stałych ze swej strony dochodów dla kassy gromadzkiej, a mianowicie darowanie i opłat za załogi i zapomogi, oraz kar których zwrot na rzecz obywateli został prawem przyznany. Można by także przy zawieraniu kontraktów czynszowych zobowiązać się do wnoszenia na rzecz kassy gromadzkiej pewnych procentów od summ czynszowych, w razie regularnego ich przez włościan opłacania. Summy ztąd otrzymane winny być kapitalizowane bezwyjątkowo, jako majątek stały zarządzany przez wybrańców gromady, przy współdziałaniu dawcy i jego następców, którzy niemogliby od tych praw być odsądzeni, chyba za zwrotem summ złożonych i ogólną zgodą stron interesowanych.

Procenta od kapitałów tych według potrzeby i uznania rady zarządzającej gminą lub gromadą, na prawnych warunkach ukonstytuowaną, używaneby były na cele powyżej wyszczególnione. Naturalnie w pierwszych zaraz chwilach procenta od summ niewielkich nie wystarczałyby na potrzeby wszystkich zakładów i projektowanych robót i urządzeń dla dobra ogółnego; należałoby więc czas niejaki fundusz kapitalizować, powoli i miarę możliwości wprowadzając ulepszenia w życiu moralnym i materialnym wiosek naszych.

Jakkolwiek wysokie byłyby ofiary obywatelstwa, w żadnym przecie razie nie należy wyłączać współdziałania i włościan w utworzeniu funduszu gromad-

kiego, a nawet tak obowiązki rozłożyć, aby ile możności równo ciążyły na wszystkich członkach składających gromadę; tym sposobem bowiem zapewni się funduszowi samoistność i uczyni zadostę sprawiedliwości, żądającej aby ci którzy będą korzystać z dobrodziejstw, przykładali się też do nich w miarę możliwości i sił swoich. Dlatego też współdziałanie w wytworzeniu funduszu gromadzkiego nie należy czynić wyłączną powinnością czynszowników, a przyszłych drobnych właścicieli ziemi, ale przypuścić do tego stosunkowo i inne żywioły wiejskiej ludności, a mianowicie służących dworskich i gospodarskich, komorników, oraz rzemieślników miejscowych. Wprowadzenie nawet w zwyczaj składania pewnego bardzo drobnego procentu na rzecz kassy gromadzkiej od zarobków ludności przychodniwej, może tu być także użyte jako jeden ze środków podniesienia funduszu gromadzkiego. Nie należy również zapominać tam mianowicie, gdzie istnieje już pewna własność ogólna gminy, o spożytkowaniu jej nietylko bezpośrednio, ale także na korzyść funduszu gminnego. Tak np. pasienie na pastwiskach gminnych może być tylko do pewnej liczby sztuk bezpłatnie dozwolone, gospodarz zaś pragnący utrzymywać i paść parę sztuk więcej, powinien składać pewną małą opłatę na rzecz kassy gromadzkiej. Wypuszczenie w dzierżawę prawa polowania lub rybołówstwa na gruntach czynszowników, pewien procent od przedsięwzięć przez gromadę wykonywanych, również są źródłami, z których gromada powiększyć zdoła swój majątek, służący do utrzymania zakładów dla niej samej pożytecznych.

Niezależnie od tych wszystkich środków, w szczególnej i błogosławionej chwili powzięto myśl wytworzenia funduszu gromadzkiego za pośrednictwem przyszłej instytucji skupowej, przeznaczając na to 1/6 procentu opłacanego przez włościan od papierów indemnizacyjnych. Rozumiem się samo przez się, iż summy ztąd powstałe byłyby, mianowicie w początkach, zbyt szczupłe i dla celów swych niedostateczne; ale jako zawiązek funduszu gromadzkiego oddałyby niezmierną usługę. Co więcej, odzywają się głosy świątliwych i znających przedmiot ekonomistów, aby 1/6 procentu na fundusz gromadzki przeznaczonego, pozostała nie splacana na wieczne czasy i nie wymagalna. Nie możemy zataić że opinia ta znajduje przeciwników, sądzących iż dosyć jest aby 1/6 należności od włościan na fundusz gromadzki płynąć mająca, nie mogła być splaconą przed upływem całego okresu amortyzacyjnego dla papierów indemnizacyjnych ustanowionego; że dalsze przewidywanie, dalsze krępowanie włościan i ich osad jest zbyt szkodliwym; że prawodawstwo zbyt daleko w przyszłość sięgające często w zamiarach swoich doznaje zawodu; lepiej więc próżnego nie stanowić prawa, jak stawiać się w konieczności później je odwoływać lub modyfikować. Pamiętać także należy iż każda epoka ma swoje wymagania, i że włościanin nasz za lat 41 dojdzie zapewne do tej dojrzałości, iż dobrowolnie spieszyć będzie ze składką na cele użyteczności ogólnej, w czym samo przyzwyczajenie wnoszenia do funduszu gromadzkiego przez lat tyle pewnych należności, będzie mu ułatwieniem.

Na to obrońcy wieczystej niesplacalności ciężarów na fundusz gromadzki odpowiadają, iż wytworzenie majątku gminnego za pośrednictwem instytucji skupowej, obmyślane było nie na korzyść samych tylko włościan tych, którzy obecnie grunta posiadają, lecz dla całych gromad, dla wszystkich każdej wsi czy osady mieszkańców, którzy właśnie przy dzisiejszym prawie nie mogą być faworyzowani; dalej że szkoła, szpital, ochrona, drogi, studnie, sikawki, grosz pożyczkowy i t. p., kosztem funduszu gromadzkiego utworzone i utrzymywane, będą własnością, dogodnością wszystkich gromady mieszkańców, bez różnicy czy do ich utrzymywania i założenia przyłożyli się lub nie, że za lat 41, jak przekonywa doświadczenie, ze wzrostem bogactwa i ludności, lękać się należy także wzrostu proletaryatu, który będzie miał sobie zapewnione korzyści z zakładów gromadzkich; nakoniec pamiętać należy iż ciężar ten, dla samych kontribuentów korzystny, związany jest z dobrodziejstwem jakie im utworzyć się mogąca instytucja przez skup czynszów przyniesie. Gdyby zaś po latach 41 duch czasu wymagał usunięcia tych opłat, znajdzie się prawodawczy środek godzący te potrzeby chwili, bez ubliżenia powadze prawa.

Oto jest obecność i przyszłość kwestyi funduszu gromadzkiego, od trafnego rozwiązania której zależy byt i rozwój tylu ważnych zakładów i przedsięwzięć na dobro gromady i kraju wyrzecz mających. Ich urzeczywistnienie zacznie się z wytworzeniem funduszu gromadzkiego... dobrze o tym pamiętać powinniśmy.

KILKA SŁÓW O ŻEBRACTWIE.

Przedmiotem szczególnej uwagi i stanowczej a systematycznej działalności przyszłej rady miejskiej, powinno być żebractwo tutejsze, które coraz wzrastając, staje się plagą mieszkańców, témgorzą, że dotyka najbardziej osoby litościwe, a bez sumienia uczucia ich wyzyskując, odwraca ich zasoby od trafniejszego użycia.

Wzrost żebractwa w obecnym czasie nie da się żadnemi ogólnie ciężkimi okolicznościami wytłumaczyć; nie mamy przeludnienia i daleko nam jeszcze do tego; nie dotknęły nas nieurodzaje, ani wojna, ani wylewy wód, ani stagnacja przemysłu, ani żadna zgoła z owych klęsk, któremi krocie ludności, z kolei zwykłej życia i zarobkowania wyparte, mimowolnym, a współczuciu wszelkiego godnym ciężarem ogółu stawać się muszą. Żebractwo nasze jest w czterech piątach, jeżeli nie w dziewięciu dziesiątych, skutkiem wstrętu do pracy, a zamiłowania swobody nieograniczonej, jakiej człowiek pracujący używać nie może; jest spekulacją na nieogledną dobroczynność społeczność, która czuje żywo, ale rozumuje słabo, i liczyć się jeszcze nie nauczyła. Żebractwo u nas jednym słowem stało się fachim i procederem; kiedy nietylko nadmiaru rąk nigdzie nie widać, ale owszem dosyć jest potrzeb publicznych i prywatnych, dla braku pracowników jedynie zaspokoić się nie dających.

Pominąwszy już, że żadne większe przedsięwzięcie bez sprowadzenia obcej ludności nie obywa się, zwróć tu uwagę na rzeczy bliższe i bezpośrednio miejskie, na zarobki stosunkowo bardzo lekkie, oddawna za granicą praktykowane, a do których próżno u nas szukać kandydatów.

I tak: człowiek bez rodziny, sam mieszkający, nie znajdzie nikogo coby go uczciwie i troskliwie pilnował i posługi mu czynił; musi się udawać do służby sąsiadów, zatem odrywać ją od właściwych obowiązków, albo do współczucia przyjaciół i znajomych, również obowiązki swe mających. Toż samo da się powiedzieć w ogóle o chorych w domach leczących się, tak w uboższej jako i średniej klasie, gdzie się niezbędna tylko służbę trzyma, a choroba nieustannego czuwania wymagająca, cały tryb domowy rujnuje, jeżeli w rodzinie brak osoby płci żeńskiej, obowiązkowych zatrudnień niemającej.

Jny przykład. W klimacie naszym, jak wiadomo każdemu mieszkańcowi tutejszego miasta, nie więcej może jak trzecią część całej liczby dni roku mamy suchych: w ciągu dwóch trzecich ulice są błotem i śniegiem zavalone, a jeżeli po właściwych chodnikach dosyć sucho przejść można, to jedna przeprawa w poprzek ulicy zamoczy i zanieczyści obuwię i odzież. Utrzymywanie tych przejść w czystości i suchości możliwej, do czego miotły tylko i dobrej woli potrzeba, dałoby uczciwy zarobek większej części dzisiejszego żebractwa; tymczasem nikt się do tego nie bierze.

Jeszcze przykład. Mając interes, niema kogo posłać z listem lub kartką, z przesłanką, lub ustnem zleceniem; kupiwszy coś w sklepie, niema się do kogo udać, coby za drobną opłatą, rzecz do domu zaniósł; niema słowem indywiduów któreby trudniły się ułatwieniem mnóstwa drobnych potrzeb chodzenia wymagających, a wielką część czasu, nieraz ludziom zatrudnionym nader drogiego, zabierających.

Oto już trzy rodzaje zarobkowania zupełnie prawie u nas nietknięte, a mogące wyżyć większą liczbę indywiduów, niż cała liczba żebrzących wynosi.

Tę ostatnią, nie przesadzając, oznaczyć można na 300 w ciągu całego roku. Rachuje się tu nietylko żebractwo pod kościołami i na wszystkich ludniejszych ulicach, co parę kroków przechodnia napotykające, ale i to co się włoczy po mieszkaniach. Nic więc niema, powtarzam, przesadzonego w podanej cyfrze 300.

Zbieraną żebrzącego indywiduum dochodzi często do półrubla dziennie, niekiedy do pięciu złotych a rzadko bardzo od dwóch złotych jest mniejszą. Biorąc więc dwa złote jako ogólną przecięciową, zostaniemy niewątpliwie niżej rzeczywistości raczej, niż wyżej; przypomnieć tu bowiem nie zawadzi, że dawanych zwykle niegdyś groszy, dziś bardzo już mało jest w obiegu, i dwugrosznik najdrobniejszą bywa jałmużną.

Wypadałoby zatem, według nader umiarkowanego rachunku, że Warszawa wydaje dziennie na jałmużnę gotówką 600 złotych. Wyniesie to na rok 219,000 zł. Doliczwszy datki w pożywieniu i efektach, śmiało cyfrę tę do 220,000 zł. podnieść można. (*) Z pieniędzy

(*) Robimy tu mimochodem uwagę, że cyfry przez autora artykułu podane w ogólności nadzwyczaj są niskie. Można by śmiało podwoić, bez obawy zmniejszenia się z prawdą. Skromność ta jednak w obliczeniu, zdaniem naszym, dodaje jeszcze siły rozumowaniu szanownego autora. (Przyp. red.)

kzy tych niemniej jak dwie trzecie przepija się w szynkach, głównie nocami, po odleglejszych, zwłaszcza padwiślańskich ulicach miasta. Dodać tu trzeba, iż nożywienie udzielane stale w niektórych klasztorach zgłaszającym się ubogim bez żadnego rozróżniania, sprawdzania potrzeb i kontroli, nietylko nie jest rzetelną dobroczynnością, ale przeciwnie służy do zwiększenia szynkowego dochodu, pozwalając przez jakie takie zaspokojenie żołądka, (gdyż pijący, jak wiadomo, mało jadła potrzebują) obracać całą uzbieraną jałmużnę na przepicie.

Gdybyż jeszcze znaczna summa rocznej jałmużny, jaką wyżej przypuszczalnie podałem, oprócz miarnego użycia większej jej części, zaspokoila choć swą resztą cierpienia istotnych ubogich, to możnaby dla tej skutecznej reszty nie żałować i ogółu. Tymczasem tak nie jest, uczciwe ubóstwo nader chyba rzadko na chodnik zstępuje; cierpi i w prywatnych zabiegach u osób znajomych ulgi sobie szuka. W przyjętej liczbie 300 żebraków nie więcej jak 50ciu lub 60ciu naliczy się takich, którzy do żadnej zgola pracy niezdatni, mają niezaprzeczone prawo do publicznej jałmużny, to znaczy, że z wydanych rocznie na jałmużnę 220,000 zł. 36 do 45 tysięcy są wydatkiem szluznym i dobroczynnym, choć może niedość trafnym i oszczędnym; pozostałe zaś około 180,000 zł. niedość, że rozpusztę próżniaków i zysk szynkarzy podtrzymują, ale co gorsza, są w całości lub w części zmarnowaną należnością prawdziwych potrzebujących, publiczności nieznaną.

Należałoby więc jednocześnie, oddzielić istotne kaléctwo i niemoc, od umyślnego żebractwa i włóczęgostwa, i postarać się o to, aby summa pieniędzy z doraznej i nalogowej dobroczynności na jałmużnę rozpraszane, w większej swjej części przynajmniej, w kieszeniach dawców nie pozostała, lecz owszem trafniej, a zatem lepiej użytą być mogła.

Co do pierwszego. Moznaby znieść się najprzód z radą główną zakładów dobroczynnych, dla otrzymania od niej dokładnej informacyi, czy i ile mianowicie znalazłoby się miejsc w zakładach pomienionych w całym królestwie dla rzeczywistych kalek i niedołączonych osób, do pracy niezdolnych. Następnie należałoby utworzyć delegacyę z kilkudziesięciu chętnych obywateli, którzyby w ciągu dnia zlustrowali z pomocą służby miejskiej i w asystencyi lekarzy, wszystkie ulice miasta i wyłączyli kaléki i niedołączonych starców, od reszty żebractwa; zaczęmby dwie te kategorie niezwłocznie i przymusowo z pod kościołów, cmentarzy i z chodników usunięte być winny i do zakładów dobroczynnych odesłane.

Gdyby w zakładach tych, dla braku miejsca lub funduszy, wszystkie kaléctwo i zgrzybiałe ubóstwo pomieszczone być nie mogło, należałoby mieć w pogotowiu najęte w odleglejszych częściach miasta tanie pomieszkania, z oszczędnie urządzoną usługą, i w tych pomieszkaniach umieszczać tymczasowo żebraków dwóch pomienionych kategorii. Pożywienie dla nich i inne potrzeby dostarczałyby się z funduszu, o którym niżej, pod dozorem jakoby zarząd Tow. Dobr. ustanowił. Straż miejska, również jak i usługa miejscowa obowiązane byłyby nie puszczać mieszkających ubogich na ulice.

Zebrzące dzieci winny być odprowadzane do rodziców lub krewnych u których mieszkają, z oświadczeniem tymże, iż skoro wysyłając dzieci na żebranię, niemożność lub niechęć onych utrzymywania okazali, dzieci przeto w zakładach dobroczynnych wychowywać się nadal będą i wedle możliwości po rzemiosłach i innych zatrudnieniach rozmieszczać. Jeżeli wszakże rodzice stanowczo się temu sprzeciwia, przymus natralnie miejsca mieć nie może.

Prócz tego, winno być nadal szczególnym obowiązkiem opiekunów cyrkulowych, lub uproszonych im w pomoc na ten cel obywateli, przeglądanie przynajmniej raz w tydzień ulic miasta i przechadzek zamiejskich, dla dowiedzenia się, czyli jakie nowe, istotnie niedołączne i środków życia pozbawione osoby tam się nie ukaza i odwożenia takowych natychmiast do zakładów dobroczynnych.

Co do drugiego. Rada ogłosiłaby mogła wezwanie do wszystkich mieszkańców miasta i czasowo w niem przebywających osób, mających zwyczaj dawania jałmużny, aby obliczwszy przybliżenie wydatków roczny, półroczny lub kwartalny, jaki z tego tytułu ponoszą, zechcieli w zupełnym zaufaniu złożyć odpowiednie kwoty do rozporządzenia rady. Ogłoszenie to powinno być zwięzłe motywowane, obejmować wzmiankę o środkach dla zabezpieczenia istotnych kalek i ubo-

gich przedsięwziętych i drukować się we wszystkich pismach publicznych, w ciągu pierwszego kwartału co tydzień, a następnie co miesiąc, i prócz tego być rozlepionem po rogach ulic.

Użyćby tu należało wszelkich możliwych środków ułatwiających zbieranie składek rzeczonych, jak na przykład, oprócz przyjmowania peryodycznych składek w biurze rady, w każdym czasie, w lokalu dostępnym i do znalezienia łatwym, urządzenie stałej kwesty w obu resursach, przy cmentarzach i kościołach, w gmachach władz rządowych, sądów, w hotelach i t. d., do stosownie urządzonych oddzielnych puszek, lub do rąk uproszonych osób, na wnioski jednorazowe.

Zbieranie składek peryodycznych, (rocznych, półrocznych, kwartalnych, i miesięcznych), musi być także ułatwione, gdyż nie każdy ma czas lub ochotę fatygowania się do biura rady. Wypadałoby więc rozdać właścicielom większych domów i opiekunom cyrkulowym, albo po porządniejszych handlach drukowane karty z odcinanymi kwitami i kontrolle kart tych i wpływów ściśle w biurze rady prowadzić. Zresztą inne jeszcze mogą się tu wynaleźć praktyczne i niekosztowne urządzenia. Nazwiska osób składki peryodyczne wnoszących, winny się ogłaszać w pismach peryodycznych, tak jak i znaczniejsze datki jednorazowe.

Takimi środkami nie zbierze się wprawdzie tyle, ile dziś na jałmużnę się rozcodzi. Znajac naszą naturę, wiemy, że większa część tych co np. po parę złotych miesięcznie drobną monetą rozdają, nie zechcą dać może i połowy, kiedy przyjdzie płacić od razu, i to jeszcze z pewnym zachodem. Za to można przypuścić, iż będą osoby innego usposobienia, których rekojmia lepsza użycia datku do większej pobudzi szczodrości, znajdą się i takie, co z zasady jałmużny nie dając, dadzą składkę. Ogłaszanie nazwisk także swój wpływ wywrze. To wszystko zważywszy, da się na początek wpływ roczny z tego źródła oznaczyć na połowę mniej więcej tego, co się wyżej, jako summa ogólnej jałmużny miejskiej przypuściło, to jest mniej więcej na 110,000 zł. Byłby to już fundusz znakomity; możnaby z niego zabezpieczyć skromne i spokojne utrzymanie około 180 kalek i niedołączonych (licząc w przecięciu po 600 zł. rocznie na osobę jedną), byleby tylko, cel istotny mając na oku, nie wdawać się w kosztą zbyt wysokie, jak np. budynki okazałe, manipulacje biurowe i t. d. Najmowanie prostych, niedrogich izb, w najodleglejszych od środka częściach miasta i dozór obywatelski osobisty, naoczny, a nie piśmienny i formalny, to są najżywotniejsze warunki takiego utrzymania ubogich.

Tego wszystkiego sumiennie dopełniwszy, możnaby śmiało upewnić publiczność w stosownych ogłoszeniach, iż włóczące się po ulicach żebractwo, lub pod kościołami i na cmentarzach siedzące, na żadne jej względy nie zasługują; że bez skrupułu sumienia pomijać je nietylko godzi się, ale należy. (*) Stałe nawet, na drewnianych tablicach ostrzeżenia tej treści po rogach ulic i miejscach publicznych, nie byłyby zbyt kosztowne. Nie odstraszy to zapewne na razie żebraków nalogowych, ale z czasem skutek swój mieć będzie, skoro z jednej strony publiczność dostatecznie oświecona, nabierze zaufania w pieczołowitości rady miejskiej i zarządu dobroczynności pod tym względem, z drugiej zaś strony spekulujący na łatwe miłosierdzie próżniacy, widząc coraz większą jałowość swego procederu, zmuszeni zostaną do uczciwego na życie zarobkowania, którego im pewno przy szczerzej chęci nie zabraknie. Nie wyłączyłoby to naturalnie jednoczesnego użycia przeciwko nim takich środków policyjnych, jakie zastosowałyby się dały.

Do redakcyi Tygodnika Ilustrowanego.

Przy opisie górali Huculów w Nr. 91 Tygodnika Ilustrowanego, wspominałem o wysokim uczuciu góralek tamtejszych, i powołałem się na świadectwo s. p. księdza Karola Antoniewicza. Nie mając wtedy listu tego czcigodnego kapłana pod ręką, nieprzywiodłem odpowiedniego zeń ustępu; obecnie przesyłam ci cały wyjątek, na poparcie słów moich.

(*) W wielu miastach niemieckich oddawna już istnieją stowarzyszenia (Wohltätigkeits-Vereine), których członkowie do kasy ogólnej wnoszą pewne składki miesięczne, a zarazem obowiązują się słowem do niedawania żadnej jałmużny włączając się żebrakom. Każdy członek na drzwiach pomieszkania swego ma przybitą kartkę z napisem: „Członek towarzystwa dobroczynności, i do takiego mieszkania żaden już żebrak nie zapuka, wiedząc, że jego właściciel choćby chciał, to nie może udzielić mu datku.“ (Przyp. redak.)

„Odebrałem dziś twój list, odebrałem go w jednej z tych chwil, kiedy byłem dziwnie na umyśle wzruszony, bo właśnie zmęczony powracałem z pogrzebu. Ale do tego pogrzebu cała się wiąże historia. Przed kilkoma dniami dwóch Huculów kopało rudę żelazną do hamerni; w tém góra się usuwa, i zasypuje jednego z nich do połowy. Towarzysz biegnie spiesznie szukać pomocy: żona tego, młoda kobieta, mając w polu przy sobie małe dziecię, słyszy że góra zasypała jednego z pracujących w kopalni. Rzuca wszystko, porzywa dziecię i leci w rozpacz; [lecz gdy i dziecko jest jój [przeszkodą, zostawia je na środku drogi, i przybywa na miejsce nieszczęścia, gdy właśnie ludzie zebrani ziemię odrzucają, aby wyratować przywalonego.“

„Pada na kolana, płacze, ręce załamuje. Napróżno pokazują jój, że nie jój mąż, ona patrzy i nie widzi, słucha i nie słyszy, i potąd nie daje się uspokoić, póki sam mąż nie przyszedł.“

„A to mówią, że ci ludzie uczucia nie mają. Oj mają, ale wtenczas, gdy potrzeba, nie dla parady, aby się niem popisywać; tylko że to uczucie niezrozumiane, boleśnie zawsze zrażone, kryje się i tai w sercu, jak potok górny w skałach; ale w chwilach ważnych z całą potęgą na jaw się okazuje i wykrzyk podziwienia wywołuje.“

„Ktoby się spodziewał, iż pod tą lichą siermięgą takie serce? Kto? Nikt co ludu naszego nie zna i znać go nie chce!“

„Tego biédnego z pogruchotanemi nogami przyniesiono do domu. Nazajutrz poszedłem go odwiedzić! Mieszka na dzikim ustroniu, w pośród potężnych skał i jodeł.“

„Wszedłszy na podwórze, posłyszałem dzwonek cerkiewny, którego odgłos chrapliwie odbijał o te skały. Zapytałem przewodniczącego Hucula na co to dzwonia? Odpowiedział: że ot właśnie w tej chwili umarła matka tego biédaka. Starowina słaba już była, ale widok syna w takim stanie, dobił ją: dwadzieścia cztery godzin nie przeżyła tej boleści.“

„Wszedłem do izby. Błady, przy trupie na ławie położony świecił się kaganek, aby ten smutny obraz śmierci i nędzy w ciemnej oświecić izbie. Obok trupa matki, syn cierpiący; dwoje dorosłych dziewcząt pokrywało ciepłe jeszcze ciało staruszki, a gromadka małych dzieci obojętnym okiem patrzyła i na życie i na śmierć. A jednak jaki był spokój na wszystkich twarzach, zapewne i we wszystkich sercach! Bo biédny ten lud nie z książek, ale z własnego nauczyl się doświadczenia, że ta ziemia, jest łez i płaczu doliną.“

„Zbiegło się więcej ludzi z sąsiednich chat, i wspólnie przykłąkszy, pomodliliśmy się przy ciele. Pocięszylem jak i czem mógłem, i z błogosławieństwem ludu pogoniłem w ciemny głęboki las, z kąd też późno wieczorem do naszej chaty wróciłem, bo mi dobrze było pozostać jakiś czas samotnym.“ K. Wł. W.

PRÓŻNIAK I JOWISZ.

(B A J K A).

Próżniak, co gnuśniał w beczynnej ciemności,
Błagał Jowisza o skarby, o krocie,
A tak upornie i tak natarczywie,
Aż mu Bóg gromu zesłał litościwie
Skarb kosztowniejszy nad wszelkie wyrazy:
Perły śnieżyste, żółtawe topazy,
Brylanty świetne, turkusy niebieskie,
Godne ozdabiać korony królewskie.
Lecz cóż takiemu po brylantów tłumie,
Co ich wartości ocenić nie umie?
Z pogardą próżniak przerzuca dar boski,
Nie widzi bogactw, dotknięty ciemnotą,
Rozwodzi dalej zale swe i troski,
Depce brylanty, perły rzuca w błoto.

To nie był człowiek zdrowy, to głupiec, powiecie.
O! iluż mamy takich prostaków na świecie,
Co się skarżą na nędzę, wśród bogactw natłoku,
Pośród skarbów ciemnemu utajonych oku!
Niejeden wiedzieć nie chce, że chłopską sukmaną
Pokrywa ludzkie serce, że zadaniem pana
Przemienić pogńębionych w pracowników wolnych,
Godnych tego imienia, trzeźwych, rządnych, zdolnych.
Gdy nieszczęsnych, zdeptanych uznacie za braci,
Lud i sam się podniesie, i panów zbogaci.